**Nr. 19.** Lwów, Niedziela dnia 14. Stycznia 1877 r. **Tom IV.**

# TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

**ROK IV.**

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Wydawca i redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Biuro Administracji i Redakcji:
Ulica Halicka l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

## LUŹNE UWAGI.

XIX.

KREW I MIENIE.

Wyrazy: „krew i mienie“ bywają zazwyczaj tylko lojalnym frazesem w krajach monarchicznie rządzonych, a patrjotycznym wykrzyknikiem w republikach. U nas, którzy jako Polacy nie mamy żadnej formy rządu, wyrazy te oznaczają coś więcej. Jak ustrój mowy naszej, jak duch naszej poezji, jak duch sztuki polskiej, tak i hasła podobne miewają w Polsce bardziej realistyczną, bardziej rzeczywistą, straszną i krwawą doniosłość swoją. W żadnym narodzie stającym do walki z wrogiem, odezwa domagająca się „krwi i mienia“ nie sięga tak głęboko w życie rodzinne, jak u nas, nie kładzie na ołtarzu wspólnego dobra ofiar tak szlachetnych, tak cennych. Burze polityczne zostawiają gdzieindziej nietkniętemi znakomitsze materjalne i moralne potęgi narodu — u nas ginie co jest najczystszego, najwnioślejszego, najbardziej przejętego duchem narodowym!

Bo my nie mamy organizacji państwowej, my nie możemy wysyłać w bój r e k r u t ó w. Ochotnicy stają w pierwszym szeregu i w ostatnim, walczą i giną. Nas każdy zapas z nieprzyjacielem kosztuje więcej, niż kosztowała np. Francję wojna roku 1870.

Dla tego też, przezorniejszymi i oględniejszymi powinniśmy być, ilekroć chwila dziejowa zdaje się wyzywać nas do wystąpienia. Wiemy, że czasem Europa potrzebuje, byśmy za nią, w jej cywilizacyjnych zapasach z Azją, oddali „krew i mienie“. Wiemy, że to jest naszem posłannictwem. Ale poczuwając się do obowiązków, poczuwamy się i do praw naszych. Jeżeli duchowi cywilizacji europejskiej, jeżeli któremukolwiek mocarstwu, potrzebnym wydaje się żywioł polski, niechaj się do niego przyzna otwarcie, oficjalnie, niechaj jawnie rozwinie sztandar, pod którym walczyć mamy. Już dosyć ponieśliśmy ofiar pod kryjomem wezwaniem, już dosyć niewczesnych ruchów przepłaciliśmy klęskami, pod których brzemieniem, w naszych warunkach, ległby był nie jeden naród dumnie dzisiaj wznoszący swoje czoło.

Naszem zadaniem jest dzisiaj: n i e r o n i ć s i ł ż y w o t n y c h. My możemy przeczekać i wzrost potęgi moskiewsko-wszechsłowiańskiej, i dotrwać do chwili, w której numeryczna tej potęgi przewaga tak zaciąży nad Zachodem, że nas odszukają z pomiędzy tej rzeszy, wśród której zaczynamy gubić się ich oczom, że Polacy nie będą, jak dzisiaj, dziennikarskim tylko przyczynkiem do szabli honorowej, wiezionej wodzowi tureckiemu....

To niechaj pamięta, ktokolwiek na nas liczy, jako na zaciąg obowiązkowy, na przymusowego sprzymierzeńca. To niechaj pamięta i potężna Wielka Brytania, i każde inne mocarstwo, wciągające nas w swoją rachubę. Nauczyliśmy się tego, że lepiej nam jęczeć w najgorszem jarzmie, a u c z y ć s i ę a p r a c o w a ć nad wewnętrznym naszym rozwojem, a stawać duchowo na równi z pierwszemi tego świata ludami, niż marnotrawić niedojrzałe siły w przedwczesnych zapasach. Jeżeli komu w jego interesach handlowych szkodziłby w Carogrodzie orzeł dwugłowy, zuchwale Paleologom skradziony; albo jeżeliby czyjej egzystencji zawadzał młodziutki Holstein-Gottorp, zamiast Milana gospodarzący w Belgradzie — ha, to niechaj ten się opatrzy, komu na tem zależy! My pomimo to będziemy narodem, a wysługiwać się cudzym bogom, uważalibyśmy za krzywdę, wyrządzoną sobie samym, i najświętszej dla nas sprawie!

---

# ŻELIGA.

Powieść
JÓZEFA IGNACEGO KRASZEWSKIEGO.

*(Ciąg dalszy.)*

Część druga.

Późną jesienią, jakoś już po ukończonej siejbie, gdy liście z drzew się sypały, kasztelan był zupełnie przyszedł do siebie skutkiem swego zażytego lekarstwa — pracy. Bywały takie dnie, że wcale wesół rozmawiał o dawnych dziejach, w nich się teraz ciągle grzebał, codzień prawie natrafiając na coś ciekawego; stolnik też wiele umiał podań i znał tradycję, nieprzebrane więc mieli źródło do dysput, rozpraw i opowiadań. Dawniej więcej też wagi przywiązywano do tych domowych legend, które dzisiejsze pokolenie lekceważy i wyśmiewa.

Płynęło więc sobie życie w Barcinie po bożemu, a cud ów tak się z nimi zespolił, zrósł, tak się pamięci codziennej pracą wcielił w przeszłość, że choć dziwnie od całości odbijał, już do niego wtajemniczeni przywykli. Bardzo rzadko sam na sam będąc stolnik z kasztelanem mówili o tem jako o rzeczy zwykłej, z uczuciem tylko jakiegoś religijnego poszanowania.

Badając przeszłość i podania familijne, kasztelan natrafiał na mnóstwo wypadków jemu nieznanych, już za Stanisława Augusta podawanych; tylko, iż ocenić zdala co było rzeczywistością, a co być mogło fałszem lub przesadą, niezmiernie mu było trudno, i trzeba było wielkiej bystrości umysłu, aby stanowczy sąd wydawać o tem, co z pod warunków powszednich wychodzi i przedstawia się oku odosobnione, wyrwane, bez wszystkiego, co je w życiu otaczało i prawdopodobnem czynić mogło.

Z sąsiadów Barcina, których odkrycie w Żelidze znakomitego rodu kasztelana, najmocniej skłopotało, podobno najprzykrzej dotkniętym był kuternoga Achinger. Zajścia jego z Żeligą kazały mu się obawiać zemsty, której oprzeć by się nie potrafił chudy pachołek przeciw takiemu magnatowi.

Zaraz w początkach drżał o siebie niezmiernie, później jednak ochłonął, gdy nie doznawszy najmniejszej przykrości, ujrzał kasztelana wynoszącego się z okolicy, i zdającego się zapominać o dawnej urazie.

Już sądził, że go może nigdy w życiu nie ujrzy, gdy znowu Żeliga zjawił się w Barcinie. Achinger był już naówczas żonaty ze

swoją włościanką, i po ożenieniu tem, które choć niby szczęśliwe dziwnie się wiodło, podupadł i postarzał strasznie. W umyśle też jego zaszły zmiany, temperament znacznie zwolniał, zamiłowanie spokoju się wzmogło. Począł był ukazywać się wprzódy w Barcinie, gdzie go stolnikowa choć dosyć dumnie ale grzecznie i ludzko z jego jejmością przyjmowała, ale teraz dowiedziawszy się, iż Żeliga tam osiadł, musiał dawny stosunek zerwać. Przez całe to półrocze nie było go w Barcinie widać; nie bardzo też po nim zatęskniono.

Przypadł jakoś jarmark w Chełmie, a że Barciński wołów kilka par potrzebował, ruszył nań. Tu najniespodziewaniej stanąwszy u Szmula na dole zetknął się zaraz w progu z Achingerem, który wprzód zajechał też do tego domu. Wychodząc do sieni spotkali się sąsiedzi. Kuternoga witał.

— Com ja jegomości takie wieki nie widział? zapytał stolnik — aż mi już tęskno. Wilczysko się ożeniło, uszy spuściło, ani was teraz zobaczyć. Ale bo komu dobrze, ten swego kąta pilnuje.

— A żebyś jegomość wiedział, panie stolniku, com ja się za wami natęsknił — zawołał gorąco Achinger. Mój Boże! dałbym ogon mojej herbownej wiewiórki, żeby kogo z Barcina najrzeć! ale ba! ale ba!

— O! o! czemużeś waszeci do Barcina po tę *raritas* nie przyjechał.

— No tak... gadajcie zdrowi.. — mruknął sąsiad — a Żeliga!

— A cóż on wam teraz szkodzi?

Achinger głową potrząsł.

— Stolniku kochany — rzekł — mów sobie co chcesz, ta sałata co z głowiastego szlachcica w słup na pana wyrosła, to inny gatunek ludzi. My to się i pokłócim, i wybijem, i wytargamy, i pokrwawim, i pocałujem i zapijemy sprawę i zgoda, ale z nimi jest rzecz inna. Jak tam w to pańskie serce żółci szlachcic zaleje, to mu dziesiątego pokolenia nie zapomną i nie przebaczą, to darmo. Miałem gruby zatarg z kasztelanem, kiedym wcale nie wiedział kto on był, może mi to przebaczyć na oko jak się upokorzę, ale żeby mi miał sprzyjać i w sercu nie chować nienawiści, to nie może być. Na to on magnat z magnatów, jest to u nich we krwi.

Stolnik począł się śmiać aż się za pas trzymał.

— Pluń waszeć na te przywidzenia — odparł — Żeliga to Żeliga, a nie jakiś tam magnat, choć ma kroplę krwi ich w żyłach. Hodowało go nieszczęście, uczyła go bieda, hartowała pokuta, pozbył się nałogów pańskich, a co się tyczy uraz starych, to tak zapomina łatwo jak nikogo w świecie nie znam. Już na to wam szlacheckie słowo daję, że gdybyście jeno przyjechali a podali mu dłoń, uściśnie was i wszystko pójdzie w niepamięć. Nie wiem nawet zgoła czy jeszcze przypomina sobie tę historję dawną, bo nigdy o niej i nie bąknął.

— Ale ba! przerwał Achinger.

— Słowemszlacheckiem waści ręczę, że ono tak jest — rzekł stolnik. — Co bym za powód miał kłamać, a do domu sobie naprowadzać niepokoju, gdybym się go choć najmniej obawiał?

— Czy to stolnik tu sam? spytał,

— Sam przybyłem woły kupić i wracam zaraz do domu.

— A ja tu z moją jejmością — rzekł ciszej Achinger — bo ja bez niej nie stąpię, jadę na jarmark i ją z sobą biorę; zawsze to bezpieczniej, weselej chciałem powiedzieć. Jeżeli stolnik pozwoli, na przekąskę? mam z sobą bigos i kiełbasę, a jajecznicę Rózia usmaże taką, że palce oblizywać. Ej namów się stolniku!

— Ale ba! do trzech nie gadaj, głodny jestem jak po czterdziestodniowym poście, tylko się boję abym waści nie zrobił kłopotu. Jużem myślał sobie kazać dać Szmulowej ryby po żydowsku, ale to pieprzne u nich takie, że potem w gardle jakby świecę zapalił

— A mój ojcze i dobrodzieju!--zawołał Achinger — toć mi honor zrobisz i łaskę, wstąpiwszy do mnie na bigos. Jużci się u mnie nie strujesz, za to ci ręczę. Rózia gospodyni nie lada

Stolnik szepnąwszy coś faktorowi, którego po woły posyłał, sam się spokusił, i gdy Achinger drzwi mu otworzył do izby, poprawiwszy pasa i wąsa wszedł w bardzo dobrym humorze.

Przy stole, na którym stała kobiałka podróżna z owym bigosem przyobiecanym, siedziała właśnie pani Achingerowa. Stolnik który jej nie widział od kilku miesięcy, byłby może nie poznał, tak się zmieniła, a prawdę rzekłszy wyładniała i wyszlachciała. Już to się i strój wykwintny do tego przyczyniał. Wyglądała całkiem na idealną pastuszkę z obrazka Boucher lub Vatteau. Choć do małego jechała miasteczka, wzięła przecie pod sukienkę robron, który jej kibic i tak wysmukłą, jeszcze bardziej do osy czynił podobną. Miała na nim sukienkę jasną w bukiety kwiatów rzucaną z gorsecikiem wciętym i zręcznym, na wierzch jubkę karmazynową aksamitną z futerkiem, na szyi fontazik czarny, włosy utrefione do góry zamaszysto, jasne, a na nich czarną też koronkową osłonę spiętą pod brodą; trzewiczki haftowane, na koreczkach, i pończoszki kolorowe, które dość krótkie ubranie dozwoliło oglądać.

W tem wszystkiem dziwnie jej było do twarzy, twarzyczka też bez różu i bielidła biała i różowa, usteczka z dołkami na uśmiechy, oczy duże szafirowe z rzęsami które się spać kładły na licu, gdy powieki przymknęła, czyniły ją podobną do obrazka na cukierku nęcącego oczy. Pomimo że się tak w niej wszystko uśmiechać chciało, a do wesela zdawało stworzonem, mimo tych dołków, mimo tych oczu trochę figlarnych, mimo wyrazu twarzy całej, przygotowanej aby po niej igrała młodość ochocza, wyglądała pani Achingerowa zakłopotana, smutna, zafrasowana, przelękniona, a trocha tej nieśmiałości wieśniaczej, którą zachowała z dawnego stanu, czyniła ją jeszcze ponętniejszą, nadając urok niewinności niemal dziecięcej.

Na widok stolnika zmięszała się jeszcze więcej, powitała go wyuczonym niskim ukłonem i spojrzała na męża niespokojnie, zabierając się sprzątać ze stołu zarzuconego zapasami z kobiałki dobytemi.

— Otóż nam Pan Bóg dał miłego gościa choć na popasie — rzekł Achinger — kochana moja panno zajmijże się byśmy go czem przyjąć mieli; ja już w waszem imieniu przyobiecałem jajecznicę.

Rózia żywo się chwyciła, zarumieniła niezmiernie, nie wiedziała co począć, miała straszną ochotę sama zaraz zabrać się do kuchni podróżnej, ale sobie przypomniała, że mąż gderał często gdy zbytecznie się zapomniawszy, nie dość godność swą szlacheckiej małżonki szanowała. Była więc między młotem a kowadłem, chcąc usłużyć, a bojąc się rozgniewać. Stolnik, ktory choć stary, był galant i lubił ładne twarzyczki, które oczy rozweselają, pocałował jejmość w rączkę sporą, różową, ale ładną; bo Achinger nauczył żonę, że powinna była mieć tem piękniejsze ręce, iż ludzie na nich złośliwie szukać będą pewnie śladów dawnej pracy. Rózia nie mogła ich wprawdzie zmniejszyć, ale ucywilizowała tak, że miło było na nie spojrzeć; młodość tylko jeszcze je zbyt żywym krasiła kolorytem.

Słowo się jeszcze z ust zmięszanej pani Achingerowej dobyć nie mogło, za to uśmiechała się twarz temi dwoma dołkami, oczy przymrużone lśniły, a lekkie drżenie oblicza zdradzało przestrach, który ją ogarniał. Stała tak w niepewności, gdy mąż wesół i więcej na ten raz pobłażający, odezwał się:

— Już to moja panno trzeba zrzucić pychę z serca i samej się wziąć do roboty.

Na kominie palił się ogień wesoły, rynka do bigosu była przygotowana, trzeba było widzieć, z jakim pospiechem rzuciła się Rózia do podróżnej kuchni.

— Siadaj panie stolniku mam tu wódkę gdańską podróżną, napijemy się aby skrócić chwilę oczekiwania; a nim zakąsim twardem jajem, które jest też w pogotowiu, i nadejdzie pora na *bis repetita*, moja Rózia się uwinie z przekąską, nie prawda? — rzekł zwracając się do żony.

— O! nie zabawię! — odpowiedziała głosem nieco drżącym — tylko zawołam aby mi podali czego braknie, a zrobię w momencie.

Chłopak zjawił się w progu, wnet posłano po materjał żądany, a w rynce już się bigos przysmażał.

Stolnik czując jego zapaszek mile się rozchodzący po izbie, aż się uśmiechnął; był dobrze głodny.

— Bigosu to nie ma na świecie jak podróżny, — rzekł. — „Kto chce dobry jeść musi z sobą wieźć,“ mówi przysłowie; dopiero gdy się przetrawi drogą i przysmaży, jest bigos jak należy.

— To prawda — potwierdził Achinger śmiejac się.

Oba oczy mieli zwrócone ku kominowi, przy którym gosposia się krzątała tak żwawo a tak jakoś zręcznie, że Achinger sam się jej zdumiewał, choć nieco niespokojny, aby na szlachecką żonę nie nazbyt się wydawała z umiejętnoscią kucharki. Ale położenie było wyjątkowe.

Wszczęła się rozmowa o cenie wołów, o wschodach oziminy, o prawdopodobnej ostrej zimie zapowiadającej się wcześnie, i ani się spostrzegli, gdy bigos był już na stole, a powtórzenie gdańskiej wódki stało się konieczném.

— Moja dobrodziejko siadajże z nami, to nam będzie weselej pożywać twe dary— zawołał stolnik. — Najlepsza to przyprawa do jedzenia miła twarzyczka u stołu.

— Jeszcze państwu służyć nie mogę— odpowiedziała Rózia — dopiero gdy moja druga potrawa na stół przyjdzie; spaliła by mi się, gdybym jej nie pilnowała, jedzcie państwo.

Szczerze się oba zabrali do półmiska, i byliby rychło pokonali, gdyby im nie przerwała biesiady niespodzianka.

Żeliga, który był został w Barcinie, w godzin parę po wyjeździe stolnika postrzegł się, że mu kroniki jakiejś zabrakło, którą przed parą dniami odesłał XX Bazyljanom, a że dzień jarmarku ludzi rozpędził, pojechał do Chełma, spodziewając się ze stolnikiem tam spotkać i z nim razem powrócić.

Przybywszy do Szmula, gdy spytał o Barcińskiego, chłopiec mu drzwi izby, w której właśnie do bigosu się zabierano, otworzył, i w progu jak niespodziany ów wilk z za płota gdy o nim była mowa, ukazał się zdumionym oczom Achingera pan kasztelan.

Oniemiał nieborak kuternoga, a stolnik przytomny pochwycił zręcznie za uszy. zerwał się ze stołka i pobiegł naprzeciw przyjaciela.

— Kasztelanie! —zawołał, drugim kieliszkiem gdańskiej wódki ośmielony—nigdy bardziej nia mogłeś w porę przybyć. Choć się zdumiewam, podziwiam rozum trafu, który cię tu zesłał. A tożeśmy tylko co o was z panem Achingerem mówili, bo miły sąsiad frasował się, żeście sobie jeszcze dłoni nie podali, że żal do niego w sercu chowasz. Jam ręczył że nie, nieprawdaż?

— Co za żal? — zawołał podchodząc kasztelan i rozglądając się ciekawie, nie ma między nami nic, prócz wspomnienia dawnej znajomości. Witam was panie sąsiedzie, mówię sąsiedzie, bom ja w Barcinie parafię zasiedział, objadając tych nieszczęśliwych Barcińskich moich.

Achinger ściskając podaną dłoń, zrobił się maleńkim, pokornym, a ze śmiechu, do którego się zmuszał, podszytego strachem, stał się poczwarnie brzydkim Prawdę rzekłszy nigdy pięknym nie był, ale chwilami udawało mu się być okropnym.

Szczęściem osobliwszem jajecznica smażąca się w kominie uratowaną została, gdyż pani Achingerowa na widok nowego przybylca, o którym tyle słyszała, którego była niesłychanie ciekawą, straciła prawie przytomność; a tu gdy się chciała skryć przed nim w kątek, mąż ją właśnie na środek wyjść i ukłonić się przymusił.

Spojrzał na ten kwiatek różowy Żeliga, i z wdzięku jego prawie się musiał uśmiechnąć, tak dziwnie zakłopotanej było do twarzy. Gdyby był nawet nie wiedział kasztelan. o pochodzeniu Achingerowej, może by się go był domyślił; coś w niej mimo właściwego wdzięku było silniejszego, żywszego, bujniejszego nad krew szlachecką, można by rzec i dzikszego i szczerszego razem. Pomimo że się młoda jejmość hamowała jak mogła, aby się nazbyt wieśniaczką nie wydawać, znać było naturę pierwotną, przywykłą do objawiania w inny sposób, raźniej, otwarciej szczerzej.

— A to moja żonka! rzekł przedstawiając ją kuternoga i z podełba spoglądając zaraz, jakie też zrobi wrażenie na kasztelanie.

Pani Achingerowa, która wiele słyszała o Żelidze, aż widocznie była wzruszoną, spojrzała nań z uwielbieniem, a Żeliga niemal osłupiał, widocznie był olśniony niepospolitą jej pięknością i wdziękiem dusznym, ktory z niej promieniał.

To zapoznanie trwało mgnienie oka, ale djabeł, który nie spi sprawił, że kuternoga postrzegł wrażenie, jakie na sobie uczynili wzajemnie i rzekł w duchu:

— Ażeby też stary zaszłapał, ot to bym go dopiero pociągnął.

Ta obrzydliwa myśl, jak pocisk w ranie, utkwiła w głowie Achingera.

(C. d. n.)

---

# Franciszek Karpiński i jego poezja.

napisał

JÓZEF TRETIAK.

(*Ciąg dalszy*).

Krok ten, jeżeli dowodził lenistwa, to zarazem i bezinteresowności Karpińskiego, i mógł bardzo schlebiać księciu Adamowi, ale księżę choć z początku okazywał radość z tego, niebawem dowiódł, że trwa w dawnej chęci pozbycia się poety. W kilka tygodni potem znów zapropnował Karpińskiemu miejsce u innego Sanguszki, marszałka litewskiego. Uczuł poeta, że już daremnie trzymać się dworu Czartoryskich, z drugiej strony stara Sanguszkowa, babka dziecięcia, które mu chciano poruczyć, umiała go tak wzruszyć łzami i prożbami, aby objął dozór nad dzieckiem, że przyjął ten nowy dla siebie obowiązek. I tu warunki pieniężne były dobre: znaczna pensja, a po dziewięciu latach wieś dożywociem, dająca 10 tysięcy dochodu. Nazajutrz po widzeniu się z Sanguszkową, przeprowadził Karpiński rzeczy swoje do jej pałacu, i zrobiwszy to, szedł z sercem ciężkiem i rozżalonem pożegnać się z księciem. Nie zastał go w jego pokojach; było to jeszcze rankiem, księżę pił kawę przy łóżku żony. Karpiński nie namyślając się, ruszył do pokoju księżnej, nic go w tej chwili etykieta nie obchodziła, i dziękując księciu za chleb, który jadł u niego przez półtora roku, rozpłakał się w końcu i powiedział: „Nie tylko uczynkiem, ale myślą nawet nie zgrzeszyłem przeciwko W. ks. Mości, wszelako mnie z domu swego jak winowajcę jakiego wypędzasz, a ja tu przy tobie do swojej śmierci żyć chciałem.“ Księżę wzruszył się temi słowami i rzekł: „Toż się u mnie zostań, z całego serca proszę,“ ale Karpiński odpowiedział, że już dał słowo Sanguszkowej i zapłakany wyszedł.

Tak się skończył (1782)*) stosunek z księciem Czartoryskim, stosunek, na którym sobie poeta budował najlepszą podług swego wyobrażenia przyszłość. Gdyby mógł dłużej zostać w tym domu, kto wie, czyby sam potem nie chciał się z niego wydostać, czyby nie zatęsknił do ubogiej, ale zupełnej niezależności? Ale teraz gdy go ztamtąd niejako odprawiano, gdy mu odbierano cacko, którem się tak krótko bawił, teraz żal go wielki obejmował, i zdawało mu się, że jest Adamem niesprawiedliwie wygnanym z raju. Fatalizmem to było w życiu Karpińskiego, że ciągle liczył na pomoc wielkich tego świata, że oglądając się na innych poetów, którzy nie hojniej od niego byli obdarzeni talentem, a doznawali łask pańskich, nie mógł zapomnieć o tem, że ma równe, a może większe do tych łask prawo. I teraz, jeżeli co mu łagodziło gorycz obowiązku prywatnego pedagoga, to ta myśl, że w domu starej księżnej Sanguszkowej, na wielką utrzymywanym stopę, spotykać się będzie z królem, i że z tego przypadkowego może się jaki trwały wywiąże stosunek. Ten to król oddawał mu w ręce siedmioletniego Romana Sanguszkę, a kiedy w dzień imienin babki Romańcio w przytomności króla powiedział jej czterowierszowe powinszowanie napisane przez Karpińskiego, to król wziął malca na ręce i jeszcze raz kazał sobie powtórzyć ten dziwnie miły i naiwny wierszyk. Ale i tym razem zawiodły naszego poetę nadzieje, i król prócz grzecznych słówek nie znalazł nic dla niego.

Mały Romanek był zupełnie oddany Karpińskiemu w opiekę i mieszkał z nim nie u babki, nie u matki, ale w warszawskim konwikcie Pijarów, gdzie wraz z innymi uczniami brał lekcje. Do Karpińskiego należało kierownictwo moralne i w ogóle czuwanie nad dzieckiem. Chłopak był dobry i bardzo przywiązał się do naszego poety, ale tak go w domu psuto pieszczotami, prezentami i pochlebstwami, że zaczął się wynosić nad kolegów, i Karpiński musiał użyć radykalnego środka, aby mu przedwczesne państwo wybić z głowy. Ułożył się mianowicie z prefektem, że jak Romańcio zacznie jeszcze kiedy tony sobie dawać, to go kilku namówionych kolegów obije, byle nieszkodliwie. Środek wybornie poskutkował, i pod tym względem nie miał już Karpiński troski, ale były inne kłopoty i obawy, które mu zmierziły zawód prywatnego pedagoga. Dręczyła go odpowiedzialność za zdrowie i życie dziecka, i raz kilka dni chorował z powodu, że niezdrowemu Romanciowi pozwolił zjeść tyle, iż mu się gorzej zrobiło. A przytem gniotła go niewola, owa powinność ciągłego dozorowania dziecka, Niewoli tej nie zdołała osłodzić nawet przyjaźń rektora konwiktu pijarskiego, ks. Stadnickiego, który się prawie zakochał w Karpińskim. Dość, że po upływie roku poeta niczem się nie dał zachęcić do pozostania nadal przy Romańciu. Chciał swobody, swobody, bez której żyć mu trudno było, bez której niszczeć zaczął. Porzucał pewne zyski, zawracał z drogi, która prowadziła do niezależnego bytu na starość, byle tylko żyć swobodnie. Rzuciwszy miejsce nauczyciela (1783) przy małym Sanguszce, Karpiński musiał wracać do swoich, do Galicji; nic mu innego nie pozostawało. Ubogiemu literatowi, gdy nie był księdzem, trudniej było żyć wtenczas, jak dzisiaj. Zanadto mało było czytających, aby, bez szczególnej protekcji mógł się był wówczas pisarz z pióra utrzymywać, dziennikarstwo tak mało było rozwinięte, że nie mogło mu dostarczyć środków do życia. W Warszawie wówczas tj w roku 1783, istniały wprawdzie aż trzy czasopisma polityczne: „Monitor,“ „Pamiętnik histo-

*) P. F. Próchnicki zapisuje rozstanie się Karpińskiego z księciem pod r. 1783. kiedy poeta wyraźnie wskazuje na rok 1782, mówiąc iż trzy lata bawił w Warszawie, a z tych trzech lat ostatni rok przy Romańciu. Ponieważ przyjechał 1780, więc rozstał się z księciem 1782 r. (Pam. str. 189 i 193.)

ryczno-polityczny“ i „Gazeta warszawska,“ ale tak szczupłe miały rozmiary, a tak zapchane były tłumaczeniami, że w każdem z nich nawet dla jednego człowieka za mało było pracy. Wychowanie publiczne było ciągle jeszcze prawie wyłącznie w rękach księży. Zresztą i to trzeba przyznać, że Karpiński nie miał systematycznej nauki, któraby go zalecała na miejsce publicznego nauczyciela. Gdy więc chciał uprawiać literaturę, a był ubogi i miał wstręt do prywatnego nauczycielstwa, to pozostawała mu tylko droga łaski pańskiej. Na tej drodze zawód spotkał poetę. Jeszcze przed samym wyjazdem z Warszawy miał on nadzieję, że go książę zatrzyma. Był u niego z pożegnaniem, książę mógł dobrze wiedzieć, że Karpiński z konieczności tylko wraca do Galicji, ale ani słówkiem go nie zatrzymał.

III.

(1783 – 1792.)

(Powrót z Warszawy na wieś. Nowy wyjazd do Warszawy. Znajomość Karpińskiego z panią Branicką i z Marcinem Badenim. Udział w ruchu politycznym 1788. Nowe nadzieje i miejsce nauczyciela w Zabłudowie.)

W duszy naszego poety dużo zbierało się żalu, gdy wracał do wioski, którą przed trzema laty był opuścił. Jakże niepodobnym był Karpiński, jadący wówczas do Warszawy, do Karpińskiego, wracającego teraz do domu. Tam jechał pełen tęczowych nadziei, rojąc o sławie, znaczeniu, zaszczytach i dostatkach; z powrotem towarzyszyły mu najsmutniejsze myśli. Był u źródła łaski i zaszczytów, i nie tylko nic nie zyskał, ale nawet utracił co był przedtem zarobił*); sława jego u tych, którzy stanowili o sławie, wcale przez ten czas nie wzrosła, a w każdym razie bynajmniej nie odpowiadała wybujałym nadziejom poety. Porzucił gospodarkę, do której się już był wprawił i która przez ten czas przynajmniej choć trochę poprawiłaby jego byt materjalny. Posunął się o trzy lata w życiu i graniczył z wiekiem, w którym byt stały i spokojny staje się naglącą potrzebą; tej przystani nie widział przed sobą, dworek w Dobrowodach nie był jego własnością. Jak różnym był także świat, do którego jechał, od świata, który zostawiał za sobą. Opuszczał kraj swobodny, stolicę ludną, huczną, gwarną, wrzącą ruchem umysłowym i politycznym, opuszczał pałace jaśniejące zbytkiem, wykwintnością form towarzyskich i dostojnością osób, które się w nich zgromadzały, a jechał do kraju niewoli, w którym pod względem narodowym i umysłowym wszystko spało, jechał do głuchej wioski, do małego dworku z niską strzechą i różnoszybnemi okienkami. W progu powitał go stary Piasecki, ten sam co mu przepowiedział szybki koniec łaski pańskiej, przyjechała także siostra Franciszka Jankowska, aby powitać brata, którego tak długo nie widziała, a który wracał z wielkiego świata od króla, od panów. Miałże Karpiński czem wesprzeć tę ubogą i obarczoną dziećmi siostrę, gdy sam nie był pewny jutra?

Wówczas to wzbrane żalem serce podyktowało mu ów słynny „Powrót z Warszawy na wieś.“ Dziwny to wiersz, pełen poetycznego uroku, a przecież jest w nim pewne natręctwo, które nikomu podobać się nie może. Karpiński skarży się na panów, że nie jest „popłatnym u nich,“ że mógłby się im przydać na co, ale go nie chciano. Dziś gdyby kto takie żale zaczął rozwodzić, chociażby tak pięknym wierszem jak Karpińskiego, nazwanoby go niedołęgą. Masz zdrowe ręce, masz głowę na karku, masz tyle zawodów przed sobą, wybieraj, idź, pracuj, a w chwilach wolnych, jeżli masz serce pełne i pierś natchnioną, zamykaj się z muzą. Bądź naprzód człowiekiem, a potem poetą, inaczej poezja twoja mało kogo będzie obchodziła. Ale do ówczesnych poetów nie możnaby przymierzać tej rady w całej rozciągłości. Powiedziałem już, że dla ubogiego poety, który nie był księdzem lub zakonnikiem, pozostawała wówczas tylko droga protekcji i łaski pańskiej. Wprawdzie Karpiński siedząc na swojej dzierżawie mógł nie cierpieć niedostatku, ale kłopoty domowe i gospodarskie nie pozwalały mu mieć swobodnej myśli, koniecznie potrzebnej do tworzenia i nie znajdował tam towarzystwa, któreby było bodźcem dla jego twórczości. Przytem jeżeli miał pretensje do panów, a właściwie do księcia Adama, to głównie dla tego, że go książę oderwał od tej czarnej pracy, z którą się był pogodził, że mu świetną ukazał przyszłość, dał zakosztować innego życia po to tylko, aby potem kazać mu wrócić do dawnego stanu. Nie były więc żale Karpińskiego zupełnie bezzasadne, wolelibyśmy jednak widzieć je bardziej krępowane męskością, i pozbawione natręctwa. Inną jest „Muza“ Kochanowskiego, mniej więcej na ten sam temat napisana. Poeta „sobie śpiewa i muzom“ i mało dba o resztę, powiada wprawdzie dalej, że „słuchaczów próżen gra za płotem sprzeciwiając się świerczom,“ ale powiada spokojnie bez rozpaczy i głębokiego żalu. Ależ to inne były czasy, i inni ludzie, i położenie Kochanowskiego nie takie, jak śpiewaka Justyny. Czarny las nie był mizerną dzierżawą, Kochanowski nie był samotnym na świecie, miał żonę hożą, dzieci ukochane, miał w Myszkowskim dobrodzieja, do którego nie potrzebował ręki wyciągać i płacić wsparcia pochlebstwem, i miał pogodę Zygmuntowskich czasów nad głową, mógł więc zachować serce spokojne i męskie. Można być pewnym, że innym byłby Karpiński, gdyby się był w tych złotych czasach urodził, a nie w najchmurniejszej epoce dziejów Polski. Dla tego nie można go tak bezwarunkowo potępiać, jak to czyni Bartoszewicz w swojej Historji literatury polskiej, odmawiając mu wszelkiego poczucia godności osobistej, i stawiąc go pod tym względem niżej od wszystkich innych poetów stanisławowskiej epoki*). Miał on jej bez wątpienia więcej od Trembeckiego, co się przyrównywał do pieska królewskiego, z pewnością nie mniej od Naruszewicza**) i Kniaźnina, którzy stosy hyperbolicznych pochlebstw napisali swoim dobrodziejom. Był tylko niespokojniejszym od nich, drażliwszym***), nie umiał panować nad sobą; to były wady jego, na nieszczęście bardzo często towarzyszące poetycznej naturze. Był natrętnym, to prawda, nie więcej może jednak od Naruszewicza, co przez kilka lat nieustannie pukał do drzwi łaski królewskiej. Bartoszewicz powiada, że chciał pochlebiać, jak inni, tylko nie umiał, ale twierdzenia tego nie dowodzi, bo to, że nie umiał, co łatwo przypuścić, nie stanowi jeszcze dowodu, że chciał. Zresztą tak pochlebiać, jak to inni czynili, nie było trudno; daleko trudniej było nie nauczyć się schlebiania w sferze przesiąkłej pochlebstwami. (C. d. n.)

*) Pam. str. 194.

*) Historja literatury polskiej str. 432.

**) Wielkie są zasługi Naruszewicza jako historyka, ale oceniając je jak należy, nie podobna nie widzieć zarazem w biskupie lichego i uniżonego rymotwórcy.

***) Porównanie Komiłowicza „O życiu Fr. Karp.“ str. 53.

# O pracy umysłowej.

przez

Dr. Juljana Ochorowicza.

(*Dokończenie.*)

Wracając do zależności pracy umysłowej od mózgu, dodam jeszcze kilka uwag o wpływie na nią wrażeń zewnętrznych. Wrażenia w ogólności mają władzę ożywiania czynności umysłu, — a nawet zupełne ustanie wrażeń, wstrzymuje objaw samowiedzy. One wprowadzają w ruch mechanizm mózgowy, obudzając z uspienia szeregi wyobrażeń i pojęć. Zmiana wrażeń, widoki, przechadzki, podróże, oświecają umysł i pobudzają go do pracy. „Najlepsze myśli, mówi Goethe, przychodziły mi podczas przechadzki.“

Jeśli jednak przy silnem zajęciu umysłu jednym przedmiotem, zechcemy go napastować wrażeniami nie mającemi związku z tym przedmiotem, to będą one działać paraliżująco — dla tego też ludzie, pracujący umysłowo, szukają ciszy i samotności, poddając się tylko tym wrażeniom, które przedmiot ich zajęcia rozjaśnić mogą. Jak daleko zajść może tego rodzaju odosobnienie, przy zatopieniu uwagi w jednym przedmiocie, dowodzi tego znany fakt, że Archimedes, najznakomitszy matematyk starożytności, zamordowany został przy napadzie na Syrakuzę w chwili, gdy pochylony nad tablicą rozmyślał nad twierdzeniem geometrycznem.

Wrażenia przyjemne, lecz niezbyt silne, pobudzając ruchy serca, ożywiają zarazem czynność mózgu. Zbyt silne, czy to przyjemne czy przykre, wstrzymują ruchy serca, wstrzymują dopływ krwi do mózgu, a tem samem zawieszają czynność samowiedzy — następuje omdlenie, czyli utrata świadomości. Chcąc ocucić osobę zemdloną, pryskamy jej w twarz wodą; przez takie podrażnienie nerwów, pobudzamy serce; serce wysyła nową ilość krwi do mózgu i przytomność wraca. Przeciwnie, cisza, wrażenia słabe i monotonne, nie podtrzymując przypływu krwi, powodują stopniowe słabnięcie czynności umysłu — nareszcie świadomość ginie zupełnie i przechodzimy do snu.

Praca czysto zmysłowa, niebudząca uczuciowych strun naszej duszy, jak np. przerabianie obojętnych dla nas rachunków, albo czytanie metafizyki przez kilka godzin z kolei, silnie wycieńcza mózg, sprowadza zmęczenie i sen; twarz wtedy zwykle jest blada, oczy zamglone. Przeciwnie, praca umysłowa, rozbudzająca uczuciowość, np. czytanie zajmującej powieści, w której losy bohaterów przejmują nas do głębi serca, sprowadza krew do mózgu, podnosi jego żywotność i wybija nas ze snu. Twarz wtedy bywa zwykle zarumienioną, oczy błyszczące.

Łatwo też było zauważyć, że po długotrwałej i uciążliwej przechadzce, albo po dobrym objedzie, trudno nam zabrać się do pracy umysłowej; myśl staje się wówczas ociążałą i leniwą, i uczuwamy potrzebę kompletnego spoczynku, chociaż umysł nie był niczem strudzony. Przyczyna tego zjawiska jest ta, że krew jest odciąganą od mózgu, ponieważ wytężenie mechaniczne powiększyło jej napływ do nóg, jeśli te były sforsowane, albo też

do żołądka, jeśli ten zmuszony jest więcej niż zazwyczaj pracować nad strawieniem pokarmów.

Widzimy tedy, w jak ścisłym związku znajdują się wszystkie sprawy organiczne. Wytężona nad miarę praca mechaniczna szkodzi umysłowi — naodwrót zaś, wytężona praca umysłu szkodzi ciału. I jakkolwiek natura ludzka jest tak elastyczna i silna, że do najmniej hygienicznych warunków przyzwyczaić się może, to jednak nie ulega wątpliwości, że najpewniejszą podstawą zdrowia jest harmonijna działalność wszystkich organów, a więc i muskułów i mózgu. Taka praca ożywia krążenie krwi, sprowadza prawidłowy rozwój organizmu, utrzymuje umysł w stanie świeżości i nadaje mu przewagę nad zgubnemi wpływami otoczenia. Uczeni, którzy tę wielką zasadę w życiu zastosować umieli — żyli długo, panując siłą myśli nad cierpieniem ciała, i nie zaznali w późniejszym wieku tych ciężkich kajdan, jakie wkłada na nas starość i zgrzybiałość, nierozważnem życiem przyspieszona. „Główną przyczyną wielu chorób, mówi Feuchtersleben w sławnej swej „Hygenie duszy", jest zbyteczna uwaga na wszystko co ciała dotyczy, nie można więc temu lepszego przeciwstawić środka, jak wyższe umysłowe zajęcia, które odwodzą myśl naszą od kłopotów cieleśnych. Litość bierze, patrząc na te ciasne głowy, zajęte drobiazgową i nieustanną pieczą około swego fizycznego bytu, który sam; podkopują powoli przez ciągłe obawy. Lekarz, którego niezmordowanie się radzą, czuje dla nich tylko pogardę. Tacy ludzie umierają dlatego, że żyć pragną". Brak im bowiem tej siły umysłowej, która odrywając myśl od poziomych drobnostek życia, opiera szczęście nasze na niezachwianej podstawie wiedzy, odsłaniającej nam swe skarby duchowe. Platon nauczał jeszcze w 80 r. życia — Auber, w 82 skomponował swój „Pierwszy dzień szczęścia" — Goethe, w 83, na kilka dni przed śmiercią, wydał jeszcze sławną swą broszurę „O zasadach filozofji zoologicznej Geofroy de Saint-Hilaire", w której stawał po stronie teorji rozwoju, tak głośnej w dzisiejszych czasach od chwili, gdy z nią złączono nazwisko Karola Darwina.

Niedawno zmarły znakomity nasz prawnik i historyk, Antoni Zyg. Helcel, przedstawia nam ciekawy przykład, dowodzący, jak wielką siłę ma nad organizmem głęboka praca ducha. Od wielu lat złożony ciężką chorobą, żył tylko tą jedną myślą pracy, której ukończenie było jedynym celem jego zabiegów. Dokonawszy tego, gdy już ostatnią kartkę książki wykończył, rzekł: „Teraz mogę spokojnie umierać". W kilka godzin potem już nie żył.

Nauka ma swoich męczenników — ale nie powiększajmy ich liczby. Pracujmy nad tem, ażeby ciało nie krępowało polotów ducha, ażeby maksyma starożytności: „zdrowa myśl w zdrowem ciele" znalazła swe zastosowanie. Pracując duchem, nie zaniedbujmy kształcić ciała; wszakże dzisiaj nikt już nie popiera doktryny, wymyślonej przez tych, którzy o niej sami zapomnieli, a która uważając ciało za wroga duszy, radzi je wycieńczać i umartwiać, ażeby próżniaczemu duchowi zapewnić przewagę nad niedołężnem ciałem.

Nauka daje nam inną przestrogę. Każe ona w zdrowiu ciała widzieć podstawę zdrowia duszy. „Kto wie, mawiał Aleks. Humboldt, czy inni nie zrobiliby więcej odemnie, gdyby byli ciągle tak zdrowi, jak ja".

* * *

Mamże mówić jeszcze o tych najwyższych roskoszach, będących udziałem umysłowo pracujących, a o których niewtajemniczeni nie mogą mieć nawet pojęcia, — o tych roskoszach, które ponad doczesnym światem czczych zabiegów czerpiąc swe natchnienie, życie i siły wlewają w zgnębione troską duchy? Wszechświat, ten niedościgły bezmiar tajemnic, — ludzkość, ten olbrzym w sfiinksowym swym pochodzie, — nie sąż dość wspaniałem polem dla pracy, myśli wolnej, świadomej siebie?

Wydzierać przestrzeniom ich tajniki, czasom — ich przebrzmiałe echa; zgadywać ruchy światów, krążących nad nami w bezmiarze; zagłębiać się w bezdeń ludzkiego ducha, aby z tajemniczej jego głębi wydobywać perły wielkiej nauki: jak żyć i umierać przystoi człowiekowi — nie jestże to praca godna naszych przeznaczeń? Tak, praca umysłu zjednoczona z pracą rąk naszych — to nasze przeznaczenie, to nasza potęga. Społeczeństwo, w którem wszyscy pracują — nie może upaść. Praca ciała daje nam życie — ale praca ducha, daje nam godność i siłę. Przez nią, utrzymujemy się bezustannie na tym poziomie wiedzy, który prace zagranicznych badaczów podnoszą coraz to wyżej. Nie zostawajmy w tyle, bo nas ten prąd pokryje i zatopi. Raczej powinniśmy całą siłą ducha wybić się ponad ten poziom wiedzy, pochwycić za ster postępu, i przewodniczyć innym narodom w pracy i nauce.

Koniec.

---

# NINA.

## Obrazek z życia

przez

Zofję R.

(Dokończenie.)

Godzina za godziną upływała; Konstanty, jak mniemała, nie wychodził od Juljusza, nic strasznej cichości nie przerywało. Dom cały już był dawno uśpiony. Nina dostała tak gwałtownego bicia serca, iż chwilami siadać musiała, gdyż z nóg ją zwracało, to znowu niby zmęczone ucichało zupełnie, tamując oddech.

Od czasu do czasu w duszy jej błyskał obraz szczęścia domowego, w jakim trzy lata przeżyła. Miłość, cześć i ufność męża, niepokalane imię u świata! Cóż ona uczyniła z temi darami cennemi? Jak dziecię niebaczne ciska o ziemię i druzgoce w bryzgi skarb dla drugich bez ceny, tak ona zdruzgotała skarby, które by dla innej kobiety były najwyższem szczęściem...

— O Boże! łamiąc ręce i z rozpaczą wznosząc głowę do góry zawołała, powróć mi przeszłość, zwróć mi zaufanie męża, a wydrę z serca miłość dla Juljusza, obraz jego, pamięć i myśl każdą o nim!

Zapóźno! głos wewnętrzny powiedział.

Rzuciła się na krzesło, a chociaż pierś jej podnosiła się spazmatycznem łkaniem, jedna łza nie spłynęła z oka by jej ulgę przynieść. Wstała, wyszła do sieni, nie wiedząc co robi, zbliżyła się do drzwi Juljusza, słuchała,— cisza i ciemność.

— Może to trwogi wzburzonego sumienia? pomyślała, może jutrzejszy dzień wejdzie mi i zaświta w spokoju?

— O Boże! daj aby tak było a nigdy myślą nawet przelotną po za obowiązki żony nie sięgnę!

Zapóźno! głos powtórzył.

Konstanty nie przychodził. — Panie odwróć nieszczęście od niego, a całe życie ofiaruję Ci przepędzić w pokorze i modlitwie! modliła się nieszczęśliwa kobieta.

Całą noc przepędziła chodząc po sypialni i salonie. Znużenie fizyczne, znękanie rozpaczliwe, doszły do najwyższego stopnia, usiadła w fotelu, oparła głowę o tylną poręcz, przymknęła oczy, wyprężenie nerwowe zesłabło, powieki opadły, w głowie jakiś niewyraźny szum i chaos powstał, zapadała w jakąś letargiczną apatję, powstać już nie mogła, ręki nawet dźwignąć.

Jak długo zostawała w tym stanie, nie wiedziała. Gdy się ocknęła z nową siłą do strasznego swego położenia, jasny dzień oświetlał sypialnię. Nie było śladu, iż by Konstanty wchodził, lub szukał spoczynku.

Zerwała się, O Boże! Boże! ulituj się nademną.

Wybiegła, spotkała niańkę z dzieckiem na ręku. Dziecię uśmiechnęło się do niej i rączki wyciągnęło, uśmiech dziecka serce jej przeszył.

— Gdzie pan? widziałaś dziś pana? zawołała takim głosem, iż prosta przywiązana kobieta uczuła potrzebę uspokojenia jej.

— Ale niechże pani będą spokojni, pan zdrów (zdawało się poczciwej, iż tak tylko o zdrowie męża można się zaniepokoić) widziałam go dziś dodnia, przyjechał z dwoma panami, z panem z Borówki i z tym drugim, co tu często bywa, zabrali ze sobą pana Juljusza i pojechali gdzieś przez wieś ku lasowi, będą tam pewnie mierzyć.

Kobieta widząc panią swoją w dziwnym stanie, dawała te wskazówki by ją uspokoić, Ninę słowo każde gromem uderzało.

Wybiegła na ganek, konia, konia, wołała nieprzytomna, konia! Na miłość Boską konia! Lecz konia trzeba było osiodłać.

Zbiegła ze schodów, biegła przez dziedziniec, włosy opadły jej na ramiona, twarz pałała, oczy obłąkane nie opierały się na żadnym przedmiocie. Wyprowadzono Ledy, wskoczyła na siodło.

— Któremu z nas każe jaśnie pani jechać za sobą? pytał stary masztalerz.

Nina za całą odpowiedź tak gwałtownie śmignęła Ledy szpierózgą, że aż pręg czerwony wystąpił na delikatnej skórze. Pieszczona ulubienica pod niezasłużonym bolem pomknęła szalonym pędem.

Stary masztalerz wzruszył ramionami.

— Co się tu u nas dziś dzieje? nic nie rozumiem.

I mrucząc tak wsiadł na stępaka i podążył za panią. Nina już teraz nic nie myślała. W skroniach jej rwało, pęd wiatru oddech tamował, i rozrzucone włosy po ramionach unosił. Zdawało się jej, że las do którego dostać się chciała, leży na końcu świata. Ledy z całą szybkością swej rasy pędziła, pani jej śmigała ją co chwila szpicrózgą. Biedne zwierze, nieprzywykłe do bolu, wszystkich sił dobywało. Znalazła się w końcu na skraju lasu. W którą stronę się udać? Wstrzymała się, Ledy parskała rozdętemi nozdrzami, sypiąc iskry z oczu. Pod lasem pastuszki paśli bydło.

— Którędy pojechali? zawołała na nich.

— Pan z tymi cudzymi panami? rzucono jej pytanie na pytanie, nie wiedząc jak każde mgnienie oka jej drogie

— Pan! krzyknęła z rozpaczą.

— A tędy na lewo, drogą na Jackowy ług

Pomknęła w lewo lotem strzały

Ledy miała silne nogi, inaczej co krok śmierć groziła zrozpaczonej amazonce, pierwsze silne utknięcie konia, a głowę musiałaby rozbić o pniaki i korzenie sterczące. Już rozrzedziły się drzewa, już ujrzała Jackowy ług! Przygotowana była na to co ujrzeć miała, a czyż jest pióro, które by jej przerażenie oddać potrafiło!

Konstanty i Juljusz stali od siebie zaledwie na kilka kroków oddaleni, z wyciągniętą palną bronią! Widziała jak Juljusz spuścił rękę z pistoletem, usłyszała grzmiący głos Konstantego:

— Strzelaj! bo cię publicznie opoliczkuję!

Widziała to wszystko, usłyszała słowa straszne, straszniejszym jeszcze głosem wyrzeczone a wstrzymać nie mogła, przybywała zapóźno!

— Stój — cie, krzyknęła dopadając na dolinę, ale w tej chwili padły dwa strzały.......

Juljuszowi lewe ramię opadło bezwładnie, Konstanty zachwiał się na nogach, schwycił za piersi i runął na ziemię. Nina skoczyła z konia, nieprzytomna rzuciła się na kolana przed mężem, krew ją całą zbroczyła.

Konstanty oczy otworzył, poznał żonę i odepchnął od siebie, a odwracając głowę od jej widoku, skonał. Juljusz stał oparty o drzewo, brwi ściągnięte wyrażały ból i rozpacz tego nieszczęśliwego, który najpierw zdradził, a potem zamordował przyjaciela...

Cisza zaległa, jaka powinna zalegać przy trupie.

— Daj mi broń nabitą! przerwał grobową ciszę, rozpaczą wibrujący głos Juljusza. Ja nie powinienem go przeżyć ani jedną godzinę!

Na to Nina podniosła się z ziemi cała skrwawiona.

— Niegodny! zawołała, na mnie zrzucasz podwójny ciężar zbrodni, gdyż niemasz odwagi cierpieć wyrzutów sumienia? To ja, przykuta jego dzieckiem do świata, sama je znosić będę? Żyj i cierp jak ja cierpię!

Zwróciła się do sekundantów.

— I wy nie obciążajcie mego sumienia swoją odpowiedzialnością, rozjedźcie się do domów, mnie samą zostawcie!

Mówiła tak stanowczo, tak rozkazująco, z takim spokojem rozpaczy, iż głowy ugięli przed tą siłą nieszczęścia! We dwie godziny później, martwe ciało Konstantego wjeżdżało na dziedziniec jego domu, Nina szła przy wozie.

---

W Krakowie w klasztorze pp. Norbertanek, odbywały się obłóczyny nowicjatki. Kościół był przepełniony ciekawymi, gdyż wieść się rozeszła, że oblekająca szaty zakonne, żyjąc na świecie piękną była i zalotną, że z jej przyczyny dwóch ludzi zginęło w pojedynku. Tłum ciekawy pięknej pokutnicy, cisnął się do kraty; w białym stroju przykryta welonem do stóp sięgającym, zakryta była oczom patrzących, lecz gdy leżącą krzyżem u stopni ołtarza przysłonięto śmiertelnym całunem, i poczęto śpiewać nad nią psalmy śpiewane nad umarłymi, pierś każda ścisnęła się żalem, a łkanie głośne dało się słyszeć w tłumie. Młoda kobieta, sparta na ręku mężczyzny w średnim wieku, nie mogła utulić się w płaczu.

— Moja Milu, pochylił się do płaczącej jej towarzysz, to już jest czułość przesadzona, nierozumiem czego tak desperujesz, sama sobie winna, któż jej kazał tak postępować jak postępowała, czyż była małoletnią i niewiedziała co robi? teraz niech pokutuje, nic mi jej nie żal. Mąż z jej przyczyny zginął, dziecka nie dopilnowała, zaziębili podczas pogrzebu ojca, i w tydzień je także pochowała, nie pojmuję więc, dla czego jej tak żałujesz?

Przedstawienia te wzmagały tylko łkanie płaczącej.

Pan Jakób, gdyż on to był, po chwili odezwał się.

— Ależ ta ceremonja djabelnie trwa długo, a gorąco nieznośne, i powiem ci prawdę, że głodny jestem nie do wytrzymania.

Mila nic nie odpowiedziała, nie mogąc oderwać oczu od grobowego całunu, pod którym leżała najdroższa jej sercu siostra! I gdy ta w końcu powstała i weszła do zakrystji prowadzącej do cel klasztornych, a drzwi z trzaskiem zamknęły się już na wieki za nią, Mili zdawało się, że wieko trumny zabito nad ukochaną Niną... Mąż ją pociągnął ku wyjściu.

— Chodź, chodź, na objad, powiadam Ci, żem głodny nie dowytrzymania.

— Prosiłam o jej włosy, przyniosą mi tu. W płaczu odpowiedziała Mila.

W tej chwili siostra zakonna przeciskała się przez tłum, i zbliżyła się do pani Jakóbowej podając jej promień siwych włosów.

— O Boże! cóż ta kobieta wycierpieć musiała! przyciskając je do ust zawołała Mila.

— Chodź już chodź! Już i tak późno, nie dostanę potem objadu w restauracji, troskał się pan Jakób. A wyprowadziwszy żonę przed kościół, otarł chustką spocone czoło i rozglądając się po niebie:

— A no, zawołał z zadowoleniem, przecież się przeciera, będzie już może pogoda, da wywieźć i rozrzucić nawóz pod ozimą pszenicę!

Koniec.

---

# Gabryel Conroy.

Romans

BRET HARTA.

Tom drugi.

*(Ciąg dalszy.)*

## ROZDZIAŁ IX.

*Pan Hamlin używa wakacyj.*

Przez kilka tygodni p. Hamlin czuł się niezdrowym, czyli jak sam się bardziej malowniczo wyrażał „grał w niewłaściwy kolor.“ Znakomity doktor Duchesne, były chirurg armji, po starannej djagnozie stawił Jackowi rozmaite pytania w sposób otwarty i szczery, co pana Hamlina zachwyciło — a potem w największym spokoju oświadczył.

— Nie wiele przynosisz pan zaszczytu swemu zajęciu. Puls pana uderza 75 razy na minutę, a to jest źle dla człowieka, który grywa w faraona z przyzwyczajenia. W ostatnich czasach dobrze się panu powodziło i miałeś pan dobre dnie! Tak sobie wyobrażam!.. Za prędko gnałeś pan swą parową maszyną i przy zbyt wielkiem ciśnieniu. Musisz pan otworzyć nieco wentyl bezpieczeństwa, albo lepiej jeszcze zasuwkę całkiem odsunąć. Nie pal pan tak mocno i jedź przy połowie siły parowej. W następnych dwóch miesiącach ja będę panem kierować. Musisz pan żyć jak panienka.

Ale ponieważ dostrzegł przerażenie w twarzy Jacka, więc dodał prędko:

— Sądzę, że powinieneś pan kłaść się spać przed północą i wstawać rano; jedz pan więcej, a pij mniej, nie graj dla wygrania, nudź się pan do przesytu, a obowiązuję się po pewnym czasie zasadzić go za zielony stół tak silnym i takiej zimnej krwi jak nigdy. Pan śpiewałeś kiedyś... Usiądź no pan do fortepianu i okaż mi próbkę swego talentu... Tak!... dość już! Zawsze myślałem że tak jest. Pan nie masz wprawy i tracisz głos! Powtarzaj więc to przez cały tydzień, a wszystko łatwiej pójdzie. Od miesiąca uważam, że pan nie raczysz ani słowa przemówić do dzieci. Co się stało z małym czyścibutem, którym zawsze opiekowałeś się? Mam szaloną ochotę wysłać go do domu podrzutków; byłoby to dobrze dla pana i dla małego chłopca. Wyszukaj pan gdzie jakie ubogie rancho z tuzinem dzieci i dawaj im lekcje śpiewu. Nie chodzi o to co pan jadasz, byleś jadał regularnie. Miałbym lepszą nadzieję. Jack, gdybym miał ratować pana od głodowych cierpień w Sierrach, jak to zrobiłem z jednym biedakiem przed sześciu laty, aniżeli teraz gdy znajduję pana wśród tych zbytków. Opamiętaj się pan! Zrób jak mówię, a możebnem będzie dla mnie zwalczyć pańską apatję, zawrót głowy usunąć, uwolnić go od bolów, puls doprowadzić do normalnego stanu i znowu postawić na stanowisku zajmowanem. Przy obecnem wzruszeniu pana odważyłbym się przez całą noc poniterować do banku, którybyś pan trzymał.

Inteligentny czytelnik z mowy tej, jak się spodziewam, przekona się, iż pojęcia tego lekarza zupełnie stosowały się do stawianych mu wymagań. O moralnej stronie zajęcia Hamlina jako gracza, nie robił on żadnych uwag; miał na widoku tylko to, by uczynić go znowu zdolnym do praktykowania dawnego zajęcia. Faktycznie bynajmniej nie ukrywał tego; ztąd też w kilka dni później mówił do jednego popularnego duchownego: Muszę wam przepisać takież same leczenie jak Jackowi Hamlin.. znasz go pan?... Gracz i łotr kapitalny; spojrzawszy na pana przypomniałem go sobie. Też same cierpienia... I jego i pana wyleczę!... Tak się też stało.

Wynikiem tej lekarskiej rady było to, że po dwóch tygodniach p. Jack Hamlin nudził się straszliwie i sam sobie był ciężarem; ale w lojalnem zaufaniu ku swemu lekarzowi wyjechał daleko na wybrzeże morskie. W San Luis Rey widział walkę byków i bardzo pragnął postawić na jednego z nich wielką sumę, nawet przyszło mu na myśl urządzić walkę niedźwiedzi i wszelkie mogące ztąd wyniknąć nieprzyjemności wziąć na siebie; ale przypomniał sobie przyrzeczenie dane lekarzowi i uciekł od pokusy.

Tym sposobem stało się, że zaraz następnego dnia jechał w dziwacznym staromodnym dyliżansie po nadbrzeżnych górach i w spokojnej misji San Antonio zarzucił kotwicę.

Tu wylądował tak znużony, osłabiony drogą i rozczarowany nic nie obiecującą powierzchownością miasta, że zwykłą pogadankę z oberzystą z rezygnacją pozostawił wiernemu giermkowi, czarnemu kamerdynerowi Pete, a sam udał się do sypialni i położył się do łóżka jak wszystkie hiszpańsko kalifornijskie łóżka w pchły należycie zaopatrzonego.

— Jak to tam wygląda, Pete? zapytał po chwili z nudów.

Pete, który z dziwacznym sposobem wysławiania się swego pana był obeznany, wiedział że pytanie to dotyczy miasta i odpowiedział z pełną godności powagą:

— Prawdę powiedziawszy, massa Jack, nie zdaje się by było tu dla pana wiele widoków. W szynkownym pokoju grają w monte, ale nie jest to żadna gra zaszczytna. Niby ona panu nie przyniosła i w końcu tylko rozgniewałaby. Na podwórzu stoi przywiązany dziki koń, — koń z którym właściciel jego, jak się zdaje, nie może dać sobie rady. Gdybyś pan był już jak należy zdrów, to może być, że puściłbym pana by się założyć o co z jednym i z drugim miejskim bałwanem. Ale teraz to jeszcze nie idzie. — Jest tu rodzaj szkoły, niedzielnej szkoły, jak sądzę, tuż obok. Mnóstwo małych dzieci odmawia tam modlitwy, śpiewa i wychwala Boga, massa.

— Jaki dzień dziś mamy? zapytał Jack nagle.

— Niedziela, massa.

Jack westchnął smutno i obrócił się na drugą stronę.

— Daj jednemu z tych chłopaków ćwierć dolara, rzekł, i powiedz mu, że dostanie więcej, jeżeli tu przyjdzie.

— Dziś nie dostanie żadnego dziecka dla przepędzenia czasu, massa Jack, z pewnością. Dziecko dostałoby w skórę, gdyby to uczyniło. Tu ludzie są niezmiernie surowi dla młodzieży w niedzielę; — to jest dzień pański, massa Jack.

Jedynie tylko aby napędzić strachu służącemu, który pomimo złego swego otoczenia był bardzo pobożny, Jack począł gwałtownie napadać na wszelkie teologiczne systemata, niedozwalające dzieciom bawić się z nim w dzień, jakiby mu podobało się wybrać.

— Otwórz to okno, jęknął nakoniec i podsuń tam łóżko. Tak, dobrze. Podaj mi ten tam romans. Dziś nie będziesz mi czytać; będziesz mógł skończyć innym razem.

Należy tu nadmienić, że Jack podczas swej choroby powziął myśl, by mu Pete czytał. Ponieważ zaś zaopatrzył się w takie tylko książki, które dla Pete były wstrętne i nie mogły być należycie zrozumiane; ponieważ przytem Jack lektora swego bezwzględnie zmuszał do płynnego powtarzania trudniejszych wyrazów, więc tym sposobem wytwarzał sobie doskonałą rozrywkę, której Pete nigdy zrozumieć nie mógł.

— Teraz możesz iść, rzekł do Pete, gdy ten wszystko jak należy uporządkował. — Dziś popołudniu nie będę cię potrzebował. Weź także trocha pieniędzy. Nie sądzę byś tu gdzie mógł znaleść kościół, odpowiadający twojemu kierunkowi; jeżeliby znalazł się kto taki co mógłby się z tobą porozumieć, to trzymaj się go jak chmiel. A jeżeli nie zdołasz dać sobie z nim rady, to go tylko dobrze zapamiętaj: już ja sobie z nim poradzę. (P. Hamlin nie pozwalał nikomu tylko sobie samemu powstrzymywać religijne tendencje swego sługi). Zabaw się, Pete! A nigdzie nie zatrzymuj się długo. Tutejsza wódka to prawdziwa trucizna.

Po tych wrażliwych pożegnalnych słowach obrócił się na drugą stronę i próbował sam zająć się książką. Zaledwie jednak przeczytał kilka wierszy, litery poczęły migać mu przed oczyma i stawać się coraz niewyraźniejszemi, tak że w końcu znalazł się zmuszonym odłożyć książkę, co uczynił z daleko poważniejszem przypomnieniem sobie przestróg lekarza, aniżeli to do tej pory bywało. Musiał przyznać sobie, że szczególne osłabienie opanowuje go, i że czasami więcej cierpień ma do zniesienia, jak sądził, aniżeli człowiek ich mieć powinien.

Myśl, że może oślepnąć albo okulawieć, powoli go opanowała. Co do pierwszego, to myśl ta miała w sobie coś śmiesznego; interesowało go wiedzieć czy mógłby grać w faraona także bez używania nóg, które przecież pod stołem nie mają żadnej doniosłości; — i czy dalej również w danym razie nie mogłyby dla ślepych być wyrabiane wypukłe karty, tak jak już są wypukłe litery; myśl że może „czuć“ *parol* albo *sekwens* bardzo go rozweselała. Wkrótce jednak z poważnem nastrojeniem przypomniał sobie biednego Gordona, który stopniowo okulawiając coraz bardziej, w końcu w łeb sobie wypalił. „Najlepsza rzecz, jaką mógł zrobić.“ powiedział sam do siebie.

Uwagi te jednak tak gnębiąco na umysł jego oddziałały, iż na chwilę pokrzepienie się trunkiem wydało mu się najwłaściwszem; — ale zaraz następnej chwili przypomniał sobie przyrzeczenie dane doktorowi, zmienił swój zamiar, i po wielkiem wysileniu także bieg swych myśli.

Ażeby ulżyć sobie, zwrócił bladą swą twarz ku oknu. Wychodziło ono na zakurzony dziedziniec, grunt bowiem jego, ciągle podczas lata wydeptywany mnóstwem kopyt, przeistoczył się w proch; widać było ztamtąd czerwony dach wznoszący się nad glinianym murem, a nad nim dwie dziwaczne białe wieże misyjnego kościoła. Między temi wieżami oko dostrzegało zielony gaik, a za nim połyskujące morze.

Było bardzo gorąco i sucho, wiatrek zaledwie poruszał firankami okna. Tego popołudnia nie wiał ów wiatr perjodyczny, często dręczący małą misję San Antonio i pokrzywiona płacząca wierzba, tuż koło okna stojąca, i zwykle doznająca spazmatycznych wstrząśnień przy najlżejszym powiewie, stała zdumiona ciszą. Nawet morze w oddali połyskiwało w spokojnej nieruchomości, i tylko od czasu do czasu oddychało, jakby zachwytując powietrza.

W tej chwili Jackowi mimowolnie przyszły na myśl wargi jednego człowieka, którego spotkał w Sacramento w hotelu, a który potem w San Francisko szukał z nim zaczepki. A tam we własnej swej postaci stał teraz mężczyzna, ten sam mianowicie mężczyzna i z pod cienia podwórza spoglądał na oberżę. Jack w sposób z teraźniejszemi swemi zasadami wcale niezgodny, uczuł natychmiast, jak go gniew opanowuje. Gdyby Pete był tu, wyprawiłby on bezwłocznie obraźliwe poselstwo; ale podczas gdy jeszcze spoglądał na tego człowieka, nagle rozległ się w powietrzu dźwięk, który uwagę jego zajął w sposób przyjemniejszy.

Były to organy. Nie bardzo doskonały instrument i nie szczególnie piękne granie; ale był to instrument, który Jack namiętnie lubił. Zapomniałem powiedzieć, że niegdyś zajmował miejsce organisty w drugim presbyterjańskim kościele w Sacramento i zajmował do tego czasu, aż dopóki postępowa i głośna opinja publiczna nie odkryła niezgodności między jego świeckiem a duchownem zajęciem, i jeden poważny djakon, który zarazem miał wielkie powodzenie jako handlujący wódką, począł nalegać na jego usunięcie. Chociaż później zwrócił on swą uwagę na fortepian, lecz dawniejsze usposobienie nie wygładziło się zupełnie. Być posiadaczem wielkiego organu, publicznie się na nim popisywać, kształcącą tem smak publiczności, było zawsze najwyższem pożądaniem naszego Jacka.

Teraz wsparł się na łokciach i rozglądał. Tyle tylko mógł widzieć, że pobliska budowa była nowszem dobudowaniem do misyjnego kościoła, i że to co zdawało się być zagłębieniem w murze, było właściwie oknem, podobnem do celu strzelniczego. Organ towarzyszył chórowi świeżych młodocianych głosów. P. Hamlin słuchał uważnie; była to jedna z mszy Mozarta, którą znał bardzo dobrze.

W kilka chwil zapomniał o swych cierpieniach i począł cicho nucić melodję. Wkrótce jednak, jako prawdziwy entuzjasta, podniósł głos, tenor, przyjaciołom i sąsiadom jego dobrze znany i śpiewał, śpiewał tak, że obawiam się, iż przemagał słabe gardziołka chłopców z chóru w kościele.

Szczytny to był poniekąd w samej rzeczy widok tego sentymentalnego łotra, który wskutek rozpustnego życia i nikczemnego zajęcia doprowadzony został do brzegów grobu, w ciemnym pokoju lichej hiszpańskiej oberży leżącego na łożu boleści i wyśpiewującego hymn na cześć Bogarodzicy. Hamlin, raz zacząwszy, śpiewał całą mszę do końca i zatrzymał się dopiero wtedy gdy chór i organy umilkły.

Natenczas podniósł głowę, oparł się znowu na łokciach i spojrzał na dziedziniec. Spodziewał się, że zobaczy jakiego małego śpiewaka i w tej nadziei przygotował już garść drobnej monety by mu rzucić, układając w myśli dowcipne uwagi i przekonywające dowodzenia, które mu zawsze ułatwiły przystęp do serca młodzieży. Ale rozczarował się.

— Zapewne szkoła jeszcze nie skończyła się, powiedział sam do siebie, i już zamierzył znowu się położyć, gdy wtem w wązkiem okienku ukazała się twarz.

Hamlin nagle zatrzymał oddech, a krew mu w twarz uderzyła. Był on w wysokim stopniu wrażliwy na niewieścią piękność, a twarz widziana w oknie była twarzą cudnie pięknej indyjskiej dziewczyny. Już nawet był gotów stwierdzić przysięgą, że nigdy w życiu nie widział nic w tak wysokim stopniu uroczego.

W ramach okna, wyglądała ona jak święty obrazek, tylko że twarz ta nie tyle była podobną do twarzy anielskiej ile raczej do twarzy pięknej, kobiety, a wielkie wymowne oczy błyszczały lekkiem zniecierpliwieniem i ludzką ciekawością.

Po za firankami p. Hamlin był pewny, że go nikt widzieć nie może; więc pozostawał w leżącem swojem położeniu i napawał wzrok widokiem tego brązowego zjawiska, które jak się zdawało, wywołał śpiew jego z zimnych murów.

W tem twarz znikła, tak samo nagle jak się pojawiła, Hamlinowi zdawało się, że gdzieś znikła w promienistem słońcu, albo w połyskującem morzu.

Gdy Pete powrócił około zachodu słońca, zdumiał się, ujrzawszy swego pana kompletnie ubranego, siedzącego przy oknie. Oczy jego błyszczały szczególnie i niezwykły rumieniec zabarwiał mu lica, co jeszcze zwiększyło zdumienie Peta.

— Przecież pan nie przekroczyłeś rozporządzeń doktora, massa Jack? zapytał.

— Zobacz, że flaszka z wódką jest nie tknięta, chyba, że ty zaczerpnąłeś z niej cośkolwiek dla otuchy, ty, stary piekielny obłudniku, — odpowiedział Jack, zadowolony i spokojnie przyjmując podejrzenie swego służącego; dziś wieczorem chcę pójść do kościoła, ażeby zbadać skąd ty otrzymujesz napitek. Ja jestem szczęśliwy, ponieważ cnocie hołduję. — Zabierz się do czytania. Zaniedbujesz się, Pete. Ale zaczekaj! czy myślisz, że gdy ty oddajesz się religijnym uczu-

ciom, ja mam być głodny? Idź mi zaraz i zamów wieczerzę!... Czekaj! dokąd że u licha tak spieszysz? Spacerowałeś całe trzy godziny i teraz — niech mnie wszyscy djabli wezmą!... znowu zmykasz, nie powiedziawszy ani słowa!

— Na rozkaz pana czekałem, massa! odrzekł Pete, z trudnością.

— Rozumie się! Czyż ci nie powiedziałem, że miałeś rozpatrzeć się jaka religja jest tu dyspensowana? ciągnął Jack dalej, — czyż ci nie powiedziałem, ażebyś przedewszystkiem zwracał uwagę na to, że katolicki kościół jest tak tu urządzony, że wiernego sługę Chrystusa, byłego organistę drugiego presbyterjańskiego kościoła w Sacramento, mógłby odwiedzić? Teraz uważam, że sam muszę udać się. Założyłbym się o dziesięć przeciw jednemu, żeś nawet ty nie był tam, ty, cymbale.

Pete całkiem z tropu zbity, począł z wielką ostentacją czyścić suknie swego pana mówiąc:

— Nie jestem papistą, massa Jack, ale sądziłem...

— Czy sądzisz ty, do licha, że będę tu tak siedział bez wieczerzy, gdy ty krzywdzisz kościół katolicki?... jedyny kościół, który... do wszystkich... djabłów... który jest gentlemanem...

Ale zastraszony Pete już umknął...

Zadzwoniono na Anioł pański. Było jeszcze pół godziny do nieszporów, gdy Hamlin powoli powlókł się do kościoła. Kilka tylko osób klęczało tam i ówdzie wśród cieniów.

Kierując się więcej może wewnętrznem uczuciem aniżeli słabem światłem świec palących się na wielkim ołtarzu, przekonał się, że postać, której szuka, nie znajduje się między klęczącemi; stanął więc w cieniu jednej kolumny i czekał na jej ukazanie się. Marzyło mu się długo. — Jakaś otyła kobieta, rozpościerająca do koła siebie ostry zapach czosnku, weszła i uklękła koło niego. Żółty vaquero, którego Hamlin zaraz przypomniał sobie, że widział jadąc tu, ukląkł również i z charakterystyczną szybkością począł klepać pacierze. Dalej dwóch czy trzech mężczyzn, w których Jack poznał graczów w monte, żałośnym tonem uskarżało się na przegranę. Zauważył wtedy Hamlin, którego puls zaniepokoiłby pewno w tej chwili doktora, w nerwowem rozdrażnieniu i jakby wskutek magnetycznego wpływu, że i ktoś inny widocznie tak samo jak on wzruszony odwracał głowę ku drzwiom przy wejściu każdego nowego członka parafji. Była to figura, której Jack zrazu nie zauważył. Ukryty w cieniu kolumny mógł on widzieć ją nie ukazując się sam. Nawet w ciemności nie mógł nie dostrzedz oczu i zębów człowieka, którego już widział po objedzie — dawnego swego pzeciwnika z Sacramento.

Gdyby to było w innem miejscu, to Jack zaraz puściłby wodze ogólnemu swemu i abstrakcyjnemu wstrętowi do Wiktora, i wywołałby spór. Tu jednak zdecydował się na to, że pójdzie za nim gdy opuści kościół, ażeby zawód swój, lub rozczarowanie na nim pomścić — co obiecywało podburzające zajęcie, które złagodzi nieco nieznośne nudy. Namiętności nie są tak wyłączne jak sądzą moraliści, gdyż pierś Hamlina napełniała się coraz bardziej gniewem i goryczą przeciw Wiktorowi w tym samym stosunku, jak wzrastało jego powątpiewanie co do pojawienia się pięknej nieznajomej, — gdy wtem na chwilę zaleciał go szelest jedwabiu i dwie postacie pod kościołem mignęły. Ostry korzenny zapach rozpostarł się. Jack spojrzał i serce mu zamarło.

Ona to była. Gdy doszła do krzesła prawie naprzeciw niego, podniosła w górę ciemną swą zasłonę i ukazała się znowu taż sama twarz, spokojna i cudna, którą widział w oknie. Teraz była dwa razy piękniejszą. Nawet dziwny kolor płci wywierał pewien urok na Jacka. Obejrzała się dokoła, zawahała na chwilę, a potem uklękła między dwoma graczami w monte. Jack instynktowo prawie wysunął się naprzód, jak gdyby chciał zabezpieczyć ją od dotknięcia tych ludzi. Bystro jednak zatrzymał się i rumieniec wstydu okrył mu policzki. Po raz pierwszy w swem życiu powstała w nim wątpliwość co do własnej moralności.

Organ zagrał preludję; dym kadzideł napełnił przestrzeń; monotonny głos księdza rozległ się w śród ściśnionego powietrza i Hamlin począł marzyć: w marzeniu zepchnął z miejsca nieczułego, mechanicznie grającego organistę, sam usiadł przed instrumentem i rozwinął całą potęgę i pełnię tonów organu i głosu dla wyśpiewania chwały... o! nie abstrakcyjnej istoty, ale istoty żywej, z mięsa i kości, i słyszał czysty jej młodociany głos tuż koło siebie; nawet raz zdało mu się, że śpiewa z nią razem i czuł się podniesionym. Ale i w tem swem marzeniu, przyspieszony oddech i sciskanie w gardle mówiły mu, że niemógłby wyśpiewać ani jednej nuty. Potem opamiętał się, istotę znajdującą się przed nim poddał dokładnemu badaniu. Spojrzał na piękną głowę, na bogatą koronkową zasłonę, na skromną ale wykwintną suknię, a nawet na mały atłasowy trzewiczek wyglądający z pod niej — a wszystko to, w połączeniu ze szlachetną postawą i staraniem unikania wszystkich oczu, oddziałało na Jacka tak, iż czuł się odsuniętym od niej na niezmierzoną odległość.

Śpiew zakończył się, ostatnie nuty organu przebrzmiały, dama wstała. Jeszcze przed pół godziną Jack z wesołą miną przecisnąłby się, ażeby zajrzeć w oczy pięknej nieznajomej; teraz uczuł strach i niespokój, przymioty dotąd całkiem mu obce; wsunął się głębiej jeszcze w cień, gdy przechodziła koło kolumny, przy której z przodu przymocowane było naczynie ze święconą wodą. Zdjęła rękawiczkę, wychyliła się naprzód tak, że prawie mógł czuć jej oddech i piękne swe paluszki w wodzie umoczyła. Gdy zrobiła znak krzyża mokremi palcami, i otrząsnęła je potem — parę kropelek wody bryznęło mu w twarz. (C. d n.)

---

# Dzwon pogrzebowy.

Jasno było dokoła na świecie,
Jasno było w zielonym ogródku,
Gdzie swobodnie bawiło się dziecię —

Jak motylek pląsając radośnie
Gdy poważny głos dzwonu, głos smutku
Wstrząsnął ciszą powietrza rozgłośnie:

A to chyże, to śpiewne jak ptaszek,
Przystanęło z twarzyczką bladnącą,
Zaprzestało na chwilę igraszek —

I do matki siedzącej na boku
Pospieszyło, tuląc się gorąco
U jej kolan z łzą dziwną na oku.

— „O! mateczko, powiedz mi co znaczy
Głos ten straszny? Mnie czegoś łzy biegą
I w serduszku mi jakoś inaczej.

I już kwiatki nie cieszą mnie więcej,
Ani ptaszki nie cieszą — dlaczego?"
Brzmiał naiwny szept skargi dziecięcej

Z takiem drżeniem i z takim pospiechem,
Że objąwszy go tkliwie ramiony
Matka z smętnym odrzekła uśmiechem:

— „Zmów paciorek za zmarłych, aniołku,
Bo ktoś zasnął na wieki, i dzwony
Płaczą za nim w pobliskim kościołku."

— „Jakto zasnął na wieki? O mamo!
Czy tak może jak ja wieczór zasnę?
Jak mateczka zasypia — tak samo?"

— „Tak dziecino, tylko gdy kto z ludzi
Umrze, tego to słoneczko jasne
Już na ziemi nigdy nie obudzi."

— „Nigdy! jakto? Więc będzie spać wiecznie
I już nigdy oczu nie otworzy?
Och, to smutno! mnie żal go serdecznie.

Takie piękne to niebo z gwiazdkami!
I te łąki i cały świat Boży
Taki piękny przy nas i nad nami.

Ale powiedz mateczko, dla czego
Snem go takim ten dobry Bóg karze?
On zapewne uczynił coś złego..."

— „Nie dziecino, lecz kto się urodzi
Musi umrzeć! Widziałeś cmentarze?
Każdy z ludzi tam usnąć odchodzi..."

— „O mateczko! Więc synek twój klęknie,
Wzniesie rączki ze łzami do nieba
I poprosi tak pięknie, tak pięknie,

Że Bóg ludziom zapewne przebaczy —
Że umierać nie będzie już trzeba
I obaczysz, że będzie inaczej!"

— „Dziecię moje! i prośba anioła
Zmienić Jego przedwiecznych wyroków,
Ulżyć ludzkim boleściom nie zdoła.

Bo cierpiemy, abyśmy tam w niebie —
Widzisz? wśród tych złocistych obłoków
W wiecznem szczęściu powitali siebie.

Dusza ciało z radością porzuca,
Jak sukienkę podartą i brudną —
A choć drugich odlotem zasmuca,

Wszystkie życia boleści cóż znaczą?
Gdy w krainę udaje się cudną,
Gdzie się wszyscy niedługo obaczą!"

— „Pięknie mówisz mateczko jedyna!
Ale czemuż ten dzwon jęknął przecie
Mnie tak smutno być czegoś zaczyna!

Że i słońca nie widzę na niebie,
Łzy mam w oku gdy patrzę, po świecie,
Łzy ach! nawet gdy spojrzę na ciebie.

Kiedy wszystko to Bóg nam zabiera,
Co kochamy na pięknej tej ziemi,
Kiedy wszystko na ziemi umiera!"

I przez modre dzieciny oczęta
Myśl wyjrzała, co głoski strasznemi
Pisze wyrok: „— Już walka zaczęta!"

Lwów 1876 *Marja B*

# Wzrost i rozwój armij stałych w Europie.

Napisał

LEOPOLD WINKLER.

(*Dokończenie*).

Ostatnie, nadzwyczajnie wielkie w stosunku do dawniejszych, powiększenie armij stałych, datuje się od wprowadzenia prawa służby obowiązkowej w wojsku. Właśnie cesarz Napoleon I wywołał to powiększenie, usiłując postawić Prusy w niemożności wydobycia się z bardzo przykrego położenia, po bitwie pod Jeną, nakazując im na mocy warunków pokoju zawartego w Tylży, utrzymywać przez lat 10 armję, wynoszącą tylko 42,000 ludzi. Wtedy Prusy, w cichości gotując się do wojny o niepodległość, bez obudzania najmniejszych podejrzeń, przyjęły prawo ogólnej obowiązkowej służby w wojsku i system Kumpera, zasadzający się na zwalnianiu ze służby żołnierzy, naukę wojskową kończących i zastępowania ich nowymi rekrutami, których znów potem zwalniano. Dzięki tym wychowaniom, Prusy w początkach 1813 r. mogły zorganizować 51 nowych bataljonów. Uważając i tę armję za niewystarczającą do postawienia oporu wielkim armjom Napoleona I, Prusy wydały dekret 3 Lutego 1813 r. o nowej organizacji tak zwanych wolnych strzelców, stanowiąc jednocześnie prawo, na zasadzie którego, rząd mógł powoływać wszystkich młodych ludzi, zdatnych do noszenia broni. Tym sposobem zorganizowano 209 bataljonów i 174 szwadrony, tak zwanego landweru. Środki te, będące zawsze dowodem mądrej administracji i rozumnej podstawy, na jakiej opiera się rząd pruski, doprowadziły do tak znakomitego rezultatu, że państwo, posiadające po zawarciu pokoju tylżyckiego zaledwie tylko 5,000,000 mieszkańców postawiło na polu walki o niepodległość 316,000 pieszych, dobrze wymustrowanych żołnierzy, nie licząc w to oficerów i 35,000 kawalerji.

W r. 1859 Prusy zaczęły energicznie przysposabiać się do roli, którą potem odegrały z tak znakomitem powodzeniem. W następnym roku liczba armji pruskiej wzrosła już do 530,000 ludzi, a wkrótce potem do 781,000 ludzi, z których 342,000 armji czynnej, 130,000 rezerwy, a reszta landwery pierwszego i drugiego powołania.

Nowy wzrost armji nastąpił po wojnie 1866 r. która przysporzyła Prusom 4,500,000 ludności. Tym sposobem i kontyngens wojskowy pomnożył się o 100,000 ludzi, a liczba wojska na stopie wojennej doszła do 977,262 żołnierzy, z których w armji czynnej było 511,826 ludzi, rezerwy 180,672, wojsk garnizonowych około 300,000. Obliczono obecnie, że cesarstwo niemieckie, jak landsturm będzie już zupełnie zorganizowany, wystawić może na stopie wojennej 2,800,000 ludzi. Wypada tu na 14 osób jeden żołnierz, co przedstawia już maximum absulutne, jakie można osiągnąć.

Jeśli Francja zechce się podnieść, będzie zmuszoną przyjąć system wojskowy niemiecki, a w takim razie będzie mogła zmobilizować 2,425,000 ludzi (armji czynnej, rezerwy armji czynnej, armji terytoryjalnej i rezerwy armji terytoryjalnej) czyli na 15 osób jeden żołnierz. Austrja, Włochy, Rossja, oraz wszystkie państwa europejskie już powiększyły, lub powiększą w tej samej proporcji swe siły wojskowe.

Ażeby ocenić doniosłość tego wzrostu, przytoczymy tu kilka cyfr znaczniejszych.

W czasie wojny siedmioletniej Rossja, Prusy Austrja, Francja i państwa składające wówczas dzisiejsze Włochy liczyły pod bronią 1,150,000 ludzi, a w 1827 r. też same państwa, których położenie bez wątpienia uległo zmianie, lecz które mniej więcej tworzyły tę samą masę terytorjalną, liczyły siły wojenne swoje na 2,629,000 ludzi, czyli inaczej mówiąc przeszło dwa razy więcej. Od r. 1827 wzrost dokonywał się jeszcze szybszy, albowiem dzisiaj pięć państw powyżej wymienionych, tj.

| | | |
|---|---|---|
| Francja licząca | 36,102,000 | mieszkańców |
| Rossja „ | 69,884,000 | „ |
| Austrja „ | 35,904,000 | „ |
| Niemcy „ | 40,582,000 | „ |
| i Włochy „ | 25,801,000 | „ |

mogą postawić na stopie wojennej 7,170,000 ludzi, a cyfra ta podniesie się jeszcze do 11,000,000 skoro nowe prawa wojskowe wydadzą swe owoce.

Tak więc w ciągu pięćdziesięciu lat, potęga militarna tych pięciu wielkich mocarstw europejskiego kontynentu prawie się potroiła.

Nareszcie nadszedł nasz wiek. Po tylu uczynionych postępach na drodze porządku tak pod względem materjalnym jako i moralnym, po najwyższych usiłowaniach i najgorętszych życzeniach utrzymania pokoju, po zaklęciach całej prasy i po kongresach zbieranych przeciw wojnie, po tylu pracach szlachetnych myślicieli i filantropów, dążących do przyszłości w spokoju szczęśliwie płynąć mogącej, nasz wiek doszedł do zrealizowania — ale czego? Maximum podniesienia liczby armij stałych, obejmujących tak młodzieńców, jako i starców, uzbrojonych w najstraszniejsze narzędzia do zadawaniania śmierci, na jakie tylko wynalazki drugiej połowy XIX wieku zdobyć się mogły.

Niegdyś uzbrojenie powszechnie praktykowane było tylko u ludów barbarzyńskich, a uzbrojenie ograniczone u ludów ucywilizowanych. Dziś uzbrojenie powszechne istnieje tylko u ludów ucywilizowanych, a uzbrojenie ograniczone u ludów barbarzyńskich lub w połowie tylko ucywilizowanych. Pomiędzy ludami ucywilizowanemi, a raczej pomiędzy ludami cywilizacji europejskiej, sama tylko Anglja zachowała obyczaj uzbrojenia ograniczonego, lecz i ta, przy okolicznościach coraz bardziej zachmurzających horyzont europejski, podobno będzie musiała, i to jak najszybciej przeprowadzić system powszechnego uzbrojenia, gdyż marynarka jej, choć najpotężniejsza, przy ewentualnościach mogących wkrótce wyniknąć, nie byłaby wystarczającą.

Przypatrzmy się obecnie, jakie wynikły rezultaty z ostatnich doniosłych wzrostów potęgi militarnej, po wojnie francusko-niemieckiej.

Oto co w tym względzie przepowiedział słynny ekonomista J. B. Say:

„Tylko narody ucywilizowane mają dochód dostateczny dla utrzymania imponujących sił wojskowych, co oddala na przyszłość prawdopodobieństwo tych wielkich zaburzeń, jakiemi karty historyczne są napełnione, wśród których narody ucywilizowane stały się ofiarami barbarzyńców“.

Inny skutek tego nadzwyczajnego wzrostu armij stałych jest: że już niepodobna będzie podtrzymywać długich wojen bez narażenia na ruinę finansów państwowych, jak również bez powstrzymania ogólnego biegu wszelkich spraw i wszystkich interesów.

Dalszy skutek będzie konieczność nałożenia, w większej części państw, nowych podatków na wydatki wojskowe, które prawie się potroiły od lat pięćdziesięciu.

Nakoniec, przesadny rozwój sił wojskowych sprowadzi chylenie się do upadku armij i zacofanie w sztuce wojskowej. Największą korzyścią płynącą z wielkich armij stałych jest czas skrócony wojny trwającej, gdyż dobrze to już dziś obliczono, że tyle krwi i pieniędzy kosztuje dziś wojna kilka tygodni trwająca, ile dawniej wojna ciągnąca się lat kilka; jednakże wychodząc ze względu ekonomicznego i socjalnego, byłoby rzeczą bardzo pożyteczną zaradzić przesileniom smutnym w interesach handlowych, przemysłowych, w wykrztałceniu i wychowaniu publicznem, które każda wojna dzisiejsza sprowadza. W istocie wojna dzisiaj nietyle szkody przynosi, kosztując wiele pieniędzy, ile złego przyczynia, nie dając możności ich zarobienia.

Doświadczenie i świadectwa fachowych wojskowych usprawieeliwiają nasze twierdzenie, że przesadna liczba wojska musi źle oddziałać na wartość armji. W istocie, jest rzeczą niepodobną wyuczyć dobrze żołnierza prędzej jak w ciągu lat trzech, nawet w tych krajach, w których dzięki wykształceniu i służbie obowiązkowej, żołnierze są inteligentni i moralni.

Właściwie siła armji dzisiejszych zasadza się głównie na instrukcji i wykształceniu wojskowem żołnierzy. Postępy w uzbrojeniu i w metodach wojskowych spowodowały, że przygotowanie to jest dziś znacznie dłuższe i trudniejsze, niż było dawniej. Wymaga ono licznych i dobrze urządzonych kadrów. Ale co jest rzeczą najważniejszą, która najbardziej przeskadza, że o ile który naród jest więcej ucywilizowany i bogatszy, o tyle mniej poczuwa w sobie usposobienia do karjery wojskowej, która, rozumie się, nie prowadzi ani do zrobienia majątku, ani do życia spokojnego i szczęśliwego. Trudności wynalezienia wystarczającej liczby kandydatów moralnych i wykształconych, w celu przygotowania wielkiej armji, codziennie się powiększają. Trudność ta okaże się szczególniej przy zorganizowaniu wystarczającej liczby podoficerów, gdyż w krajach bogatych i prosperujących, karjery cywilne przedstawiają młodzieży pod każdym względem większe korzyści, niż dać je może służba w wojsku, nie wymagając od nich ani tyle pracy ustawicznej, ani poświęceń jakich wymaga służba wojskowa. Konieczność zatem sprowadzi mniejsze wymagania i mniejszy rygor wojskowy, a szczególniej względem oficerów. Przy takich warunkach łatwo przewidzieć, że wykształcenie i karność wojskowa wiele ucierpią, a w następstwie armje stałe utracą te znakomite przymioty, które dawały im wyższość nad milicją narodową. Obawy te nie są wcale przesadne. W Prusach, w kraju najlepiej przygotowanym do wojny, gdzie armja największe odniosła korzyści, gdzie lud poczuwa najwięcej dla żołnierza sympatji, gdzie wyobraźnia najbardziej jest skłonna do rozwoju na drodze wojskowej, trudność rekrutowania kadrów napełnia trwogą mężów stanu i generałów.

We Francji, Austrji i we Włoszech podobny brak daje się uczuwać. Fakt jest sprawdzony, że we Francji niepospolita liczba podoficerów dziękuje za szlify oficerskie, a przechodzi do innych zatrudnień cywilnych, korzystniejszych materjalnie i nieporównanie łatwiejszych do spełnienia.

Choćby żołd podwyższono dla podoficerów, choćby polepszono ich położenie, to jest nadano im więcej wolności i władzy, złe się nie wykorzeni.

Jeśli zaś utrzyma się stan obecnej armji, co do ich liczby, upadek wkrótce się rozpocznie i będzie w następstwach tyle ważny, o ile byt wielkich armij wymaga więcej nauki i zdolności

w oficerach, a większego wyćwiczenia i karności w żołnierzach.

Należałoby zatem mieć oficerów i podoficerów lepiej przygotowanych i wykształconych, aniżeli oni byli w armjach Frydryka II i Napoleona I. Tymczasem po największej części w armjach dzisiejszych dzieje się przeciwnie. Należałoby także mieć dziś żołnierzy lepiej wyćwiczonych tak w marszu, jak i lepiej przygotowanych do stoczenia bitwy, gdyż dzięki kolejom żelaznym, jeśli wojna dziś jest zdecydowana, żołnierz nazajutrz stoi przed nieprzyjacielem. Dawniej, w czasie długich marszów i wypoczynków w pochodzie, dopełniano ćwiczeniami wojskowemi co jeszcze brakowało, zanim poprowadzono żołnierzy w ogień; dziś nie ma czasu w czasie pochodu na naukę.

Jeszcze jeden przykład, o ile zbyt wielka liczba wojska staje się szkodliwą i wywiera wpływ niekorzystny na rozwój sztuki wojskowej.

Zanim bohaterowie lub genjusze wojenne, jak Turenne, Condé, Gustaw-Adolf, Jan Sobieski, Karol XII, Fryderyk II i Napoleon I stworzyli to, co nazywają wyższą sztuką wojenną, armje rozprawiały się z sobą metodycznie i zwolna o posiadanie fortec lub jakiejś miejscowości. Wojna zatem prowadziła się naokoło jednego punktu, jak dziś np. pod Aleksinaczem, i kończyła się zwyczajnie obleżeniem. Pod tymi znakomitymi dowódzcami los państw całych decydował się w jednej kampanji.

Od pewnego czasu znów jakby powrócono do dawnej metody wojowania. Kampanja Krymska skończyła się na zburzeniu Sewastopola, a francusko-niemiecka na kapitulacji Paryża. Gdyby Austrja miała była pozycję ufortyfikowaną nad Po w 1859 r. bitwa pod Solferino nie byłaby jeszcze zdecydowała kampanji, a gdyby Wiedeń był ufortyfikowany w 1866, zwycięzcy pod Sadową, musieliby skończyć na długiem obleżeniu.

Jest więc rzeczą dowiedzioną, że wzrost nadzwyczajny armij stałych tak niekorzystny, a nawet tak bardzo szkodliwy ze względów materjalnych, niemniej korzystnym nie jest ze względu na dobrą organizację armji i postęp w sztuce wojennej.

Ażeby złemu zaradzić, jedyny tylko jest sposób: proporcjonalne zmniejszenie wielkich armij, czyli, jak się wyraża bardzo słusznie generał Brialmont: „la réduction proportionnelle des grandes armées et l'introduction générale du service personnel“ — to jest jedyny sposób mogący postawić armje w stanie zadowalającym, pod względem inteligencji i moralnej wartości.

Bez wątpienia dla szczęścia ludzkości najlepszą byłoby rzeczą użyć najradykalniejszego środka, to jest zaprzestania na zawsze kroków wojennych, a godzić wszelkie sprawy sporne za pośrednictwem międzynarodowego sądu; lecz nie wdając się w szczegóły tej wielkiej myśli, nie możemy nawet mieć nadziei, czy przy usposobieniu dzisiaj jeszcze panującem i okolicznościach towarzyszących, z takich sądów międzynarodowych nie powstałyby większe niezgody i w skutkach potem stokroć okropniejsze krwawe starcia.

Pewien znakomity ekonomista (Molinari) utrzymywał w 1878 r. ze postępy na drodze przemysłowo-handlowej i rozwój postępowy w komunikacji z całym światem ucywilizowanym, lub tylko w połowie posiadającym warunki cywilizacji, stały się podobno jeszcze większym powodem do częstych niezgód i sporów.

O ile zatem z jednej strony rządy mają święty obowiązek przewidywać to wszystko, co mogłoby popchnąć na drogę niezgody, sporów, a potem wojny — i starannie, z taktem wszystkiego unikać, coby sprawę na taką drogę popchnąć mogło, o tyle z drugiej strony dla bezpieczeństwa utrzymywać muszą stałe armje, ażeby gotowemi być na wszelkie wypadki, na wszelkie nieporozumienia, rozstrzygające się bardzo często za pośrednictwem dział i bagnetów. Oto jest zdanie Molinarego w tej kwestji pardzo ważnej:

„Ces conflits, il faut savoir les éviter ou les résoudre à l'aimable, et si une solution pacifique n'est pas possible, il faut être en mesure pas les vider par la force!“

Po takich dowodzeniach bardzo łatwo przychodzi zapytanie, czyż niema już środka, mogącego zmniejszyć złe, wynikające z wojny i z utrzymywania tych nadzwyczajnie licznych armij, pociągających za sobą tyle wydatków i zabierących tyle głów i rąk, które pracując na innej drodze, dopomagałyby do rozwoju powszechnego dobrobytu?

Raz jeszcze powtarzamy, że jest, i to jedyny: Redukcja proporcjonalna wielkich armij. Zmniejszenie to możebne jest do urzeczywistnienia za pośrednictwem kongresów europejskich, gdyby postępowały za natchnieniem idei filantropijnych. Takie tylko może być życzenie przyjaciół postępu. Po zatem nie znajdziemy przy dzisiejszem położeniu nic praktyczniejszego. Mieć błahą nadzieję, że armje stałe znikną jak zniknął mamut, „gdyż ziemia nie mogła go już wyżywić“, jestto bawić się mrzonkami. Wojna trwa i długo jeszcze trwać będzie, jeśli nie zawsze; takie jest smutne ludzkości przeznaczenie. Jesteśmy tak dalecy od tej chwili szczęśliwej, w którejby sprawy nie orężem się rozstrzygały, że nasza dzisiejsza generacja była świadkiem obfitszego krwi rozlewu, niż miało to miejsce w każdej innej epoce historji świata, z wyjątkiem, rozumie się, ostatnich lat panowania cesarza Napoleona I.

Tak dobrze jak za czasów Woltera, można i dziś utrzymywać, że monarcha któryby rozpuścił swe wojska i zburzył swoje fortece, a sam przepędzał czas na czytaniu dzieł wielkich myślicieli i filantrouów, w ciągu jednego roku zgubiłby swoje państwo.

Koniec

---

# Listy z Niemiec.

## II.

(*Ciąg dalszy.*)

*Wiedeń w grudniu 1876.*

Pomimo postępu ogólnego i widocznego w wyrobach austrjackiej industrji, gdzieniegdzie daje się spostrzegać zastój i stagnacja. Ociężałość i zły gust niemiecki jest charakterystycznem znamieniem, mianowicie wyrobów stolarskich i złotniczych. Ostatnie ani porównać nie można z zagranicznemi, są to raczej fabrykaty sztuki kowalskiej, ciężkie i bez żadnego gustu.

Z muzeum dla sztuki i przemysłu przechodzimy do „Muzeum orjentalnego,“ a mianowicie do odczytu mianego tu przez ministra wspólnych finansów br. Hofmanna „o kongresie geograficznym w Brukselji.“ Znany ten mąż stanu zaszczytne zajmuje stanowisko w świecie naukowym i dla tego trudno pominąć milczeniem jego prelekcje zwłaszcza, że przedmiot sam przez się jest bardzo ważny.

Nie tylko starożytnym Rzymianom, ale i nowoczesnemu cywilizowanemu światu Europy pożądanem jest „Novum ex Africa.“ Niezmordowane badania lat ostatnich, których przedmiotem był „kontynent murzynów,“ odsłoniły nieco ciemnie, osłaniające tę część świata. Czem raz bardziej zagłębiali się śmiali podróżnicy w kraje środkowej Afryki, a w miarę tego, zmniejszały się białe i określone plamy na karcie geograficznej. Jednak wszystkie te badania przedsiębrane, były po największej części bez związku i bez systemu naukowego. Głównem zadaniem kongresu brukselskiego, który się pod przewodnictwem belgijskiego króla Leopolda II odbył, było ujęcie wszystkich badań środkowej Afryki w system, by je tym sposobem zużytkować dla umiejętności geograficznej. Prace tego kongresu zwróciły na siebie uwagę całego świata cywilizowanego. Uczeni dyskutują je żywo, a ludzie poświęcający się handlowi, którzy zawsze poszukują nowych sfer dla swej czynności, zajmują się z wielkim interesem nowym światem, który się dla nich otwiera. Prelegent zaczął od historji badań w środkowej Afryce. Z rzymskich jeszcze czasów odziedziczyliśmy *Caput Nili guerere.* Strabo i Klaudjusz Ptolomeusz żywo się tą sprawą zatrudniali. Podania rzymskie służyły nowoczesnym badaczom za podstawę. Cały szereg znakomitych i głośnych w świecie naukowym mężów, jak: dr. Schweinfurt, Gordon, Stanley Baker, Speke, Nachtigall, Djessi, Krapf, Redmann, Cameron i inni, złożył się zbiorowo na wielkie rezultaty nowożytnych badań. Odkryto wreszcie jeziora Victoria i Albert-Nyanza, a w końcu dotarto do początku źródeł Nilu, za któremi przez setki lat szukano.

Król belgijski mając zamiar w drodze międzynarodowej uczynić wnętrze Afryki przystępnem dla europejskiej cywilizacji, zwołał w tym celu kongres geograficzny do Brukselji, w którym prelegent jako reprezentant Austrji uczestniczył. Kongres zgodził się co do środków, które mają być na przyszłość użyte. Polegają one głównie na urządzeniu stacyj w środkowej Afryce, które dla podróżników będą służyć za punkta zborne, gdzie ci każdego czasu będą mogli zaopatrzyć się w żywność, broń, odzienie i w ogóle we wszystko, co dla dalszego badania potrzebnem okazać się może. Organizacja takich stacyj ma być przez towarzystwo międzynarodowe przeprowadzoną, którego główna siedziba będzie w Brukselli. Król Leopold II objął przewodnictwo komitetu centralnego, który ma się składać z przedstawicieli komitetów narodowych, które we wszystkich państwach europejskich miałyby się potworzyć. Głównem zadaniem br. Hofmanna było więc wpłynąć na utworzenie takiego komitetu narodowego w Austrji. Cel ten został osiągnięty. Następca tronu Rudolf przyjął honorową prezydenturę, a za jego przykładem poszło wielu, którzy się na członków zapisali. Pominąwszy tę praktyczną stronę odczytu, przyznać trzeba, że br. Hofmann umiał połączyć *dulce et utile,* za co mu też licznie zebrana publiczność nie szczędziła oklasków.

Jak zwyczajnie, tak też i w tym roku największy budziły interes odczyty urządzone przez stowarzyszenie dziennikarzy „Concordia,“ której każdy musi przyznać wielką pod tym względem ważność. Rok rocznie zjeżdżają dla tych odczytów koryfeusze literatury i umiejętności do Wiednia i czytają o przedmiotach specjalnych, nie znanych publiczności, a nadto mających wielką

wartość literacką lub naukową. W tym roku czterech mężów walczyło o lepsze ze sobą: poeci Auerbach i Bodenstedt, tudzież dr. Leidesdorf i Weyprecht.

Trzeba przyznać, że palma pierwszeństwa przypadła poecie Bodenstedtowi, śpiewakowi wschodnich pieśni Mirzy Schaffy. Auerbach mówiąc o poecie Lenau, gubił się w epizodach bjograficznych mało ciekawych, i chyba przez pietyzm dla jednego z najlepszych niemieckich poetów, jakim był niezawodnie Lenau, mogły budzić jakikolwiek interes. Nad sukniami, laską i kapeluszem poety rozwodził się czytający prawie dłużej, aniżeli nad jego poetyczną działalnością. Nowelistyczny charakter zabsorbował w Auerbachu zmysł krytyczny.

Dr. Leidesdorf specjalista dla chorób umysłowych, znakomitość medyczna w pełnem słowa znaczeniu, obierając sobie przedmiot z zawodu swoich badań naukowych, a mianowicie: „O dziedziczeniu chorób umysłowych" (Erblichkeit der Geisteskrankheiten), już dla samego przedmiotu nie mógł budzić ogólniejszego zajęcia w publiczności. Weyprecht, znany kierownik austrjackiej wyprawy do bieguna północnego, mówił wprawdzie o rzeczy bardzo interesownej, jednak wszystkie szczegóły i wszystkie zdobycze tej wyprawy są znane, dla tego też i tym razem nie słyszeliśmy nic nowego, tylko rzeczy, o których w publikacjach samego prelegenta przedtem czytaliśmy. Rekapitulacja więc tego odczytu nie byłaby na miejscu.

Prelekcja Bodenstedta: „O perskim poecie Hafisie" przedstawiła nam świat nowy, nie znany — skarby wschodniej poezji. Nadto osobistość prelegenta zasługuje na powszechną uwagę. O tym odczycie pozwolimy sobie obszerniej pomówić.

Nie podlega wątpliwości, że ze wszystkich niemieckich pisarzy, największym znawcą wschodniej poezji i najdoskonalszym jej tłumaczem jest Fryderyk Bodenstedt. Że twierdzenie to jest zupełnie słusznem, dowodzą sześćdziesiąt kilka wydań jego „pieśni Mirzy Schaffy" i odczyt o perskim poecie Hafisie. Podobnie jak niegdyś Bodenstedt siadywał u stóp Mirzy Schaffy, ażeby jego złote sentencje odczuć i ustroić w poetyczne formy, tak samo podczas odczytu w sali Bösendorfera słuchało doborowe literackie audytorjum z natężoną uwagą jego złotych słów o starym perskim śpiewaku.

„Mirza Schaffy nie egzystuje," powiedział Hammer-Purgstall z uśmiechem, kiedy go pytano o autora cudownych pieśni, które Bodenstedt umieścił najsamprzód w dziele: „Tysiąc i jeden dzień na Wschodzie; Mirza Schaffy to Bodenstedt." To samo mniej więcej można powiedzieć o stosunku jego do Hafisa, słysząc tłumaczenie perskich pieśni. „Róże z Schirav" przewyższają w przekładzie Bodenstedta wszystko, co w tym rodzaju literatura niemiecka posiada, zacząwszy od Getego a skończywszy na Daumerze, Rikercie, Hamerze i Rosenzweigu. Prelegent kreślił z wielkim wdziękiem życie perskiego poety wedle jego własnych pieśni. Hafiz żył przed pięciuset laty. Zwano go „mężem silnej pamięci," ponieważ cały Koran umiał na pamięć. Życie jego było nadzwyczaj spokojne, a tylko raz jeden wydalił był się z swego rodzinnego miejsca Schiras. Nie był on bynajmniej bigotem, lubiał roskosze życia, pił chętnie pomimo zakazu wino, śpiewał z natchnieniem o miłości, a ciskał znowu ostre strzały sarkazmu na bogobojnych Sufisów. Z tego powodu wszczyna się pomiędzy poetą a ascetami w niebieskich turbanach spór nie mały, tak daleko idący, iż ci odmawiają jemu po śmierci pogrzebu prawego człowieka. W podobnym wypadku rozstrzyga Koran, a to w ten sposób, że przekłuwa go się igłą i stosuje się sąd wedle brzmienia wiersza, który ostatni przekłuty jest igłą. Safiowie żądają, żeby nie na Koranie tylko na poezjach Hafisa odbyć ten sąd kabalistyczny. Tak się też i dzieje; igła dotyka jego najwznioślejszą pieśń, który kończy się słowami: „Hafiz przyjdzie do raju!" Zakończenie to rozstrzyga spór. Zamiast hańby, którą duchowni chcieli go napiętnować, dostaje śpiewak pyszny grobowiec.

Każdą fazę w życiu poety ilustruje Bodenstedt doskonale wybranemi próbami z jego pieśni. Moralność Hafisa charakteryzuje prelegent, jego własnym dwuwierszowym epigramatem: „Czyń, co ci się podoba, tylko zaniechaj wszystko to, co drugim szkodzi — oto cała treść mego kazania o cnocie." Cudowną jest pieśń kończąca się po każdym wierszu refrenem: „Piękniejszego nic nie ma!" Żałujemy, że nas nie stać na przekład choćby urywków z tych prawdziwych pereł poezji wschodniej... podając je, bylibyśmy bliżej mogli zaznajomić czytelników z perskim śpiewakiem, który ze wszechmiar zasługiwałby na to. Pozostawiamy to naszym poetom, którzy podobnym przekładem bardzo by się zasłużyli ojczystej literaturze.

Na bankiecie urządzonym przez „Concordia" na cześć Bodenstedta, mówił on znowu o innym wschodnim poecie (Mirzy Schaffy) — o sobie samym. To cośmy tu słyszeli jest nie mniej zajmującem od odczytu. Bodenstedt podniósł w tem przemówieniu nadzwyczaj zajmujące szczegóły, rzucające zupełnie nowe i nieznane światło na rozwój jego własnej poetycznej działalności. Posłuchajmy, co poeta mówi sam o sobie:

„Zupełną muszę przyznać słuszność tym, którzy twierdzą, że od dwudziestu pięciu lat dałem obcemu człowiekowi (Mirzy Schaffy) sławę, która mnie należałaby. Jednak z drugiej strony i to jest pewnem, że gdybym te poezje był wydał pod mojem własnem imieniem, to sława byłaby niezawodnie o wiele mniejszą. Okoliczności te nigdy nie ciążyły mi zbyt na sercu. Szukanie sławy było mi zawsze obce...

Urodziłem się w małem niemieckiem mieście; stan oświaty mieszkańców tej mieściny był tego rodzaju, że to wszystko, co pierś i serce moje ożywiało, nikt pojąć ani zrozumieć nie umiał. W ósmym roku mego życia miałem już artystyczne poczucie. Uczyłem się pokryjomo rysować i malować. Chciałem zostać malarzem, jednak sprzeciwił się temu stanowczo mój ojciec... Wkrótce zacząłem pisać wiersze. Pierwszy mój poemat opiewał cudowne uratowanie od utonięcia. Tyczyło się to mojej własnej osoby. Ucząc się pływać, o mało pewnego razu nie utonąłem. Wyratowano mnie prawie cudownym sposobem. Poemat był wcale nie zły. Dziś nie mógłbym lepiej rzeczy tej napisać. Moje uczucie tak silnie i poetycznie w nim się manifestowało, że wszyscy byli wzruszeni. Jednak nikt nie chciał wierzyć, że ja go napisałem. Wszyscy chcieli wiedzieć zkąd ten poemat odpisałem. Później, kiedym zaczął się uczyć obcych języków, uczułem potrzebę bliższego zapoznania się z obcymi poetami. To skłoniło mnie do tłumaczenia niektórych mniejszych utworów. Żaden z moich nauczycieli nie chciał wierzyć, że tłumaczenia te są moje; pytali mnie każdym razem, zkąd je odpisałem. Tak szło ciągle, dokąd mnie nie przyprowadzono do tego, że w końcu wstydziłem się i zapierałem się, iż piszę wiersze. Miałem wówczas lat 14, kiedy jeden z moich nauczycieli przyszedł do ojca i oświadczył mu, że jeżeli będę dalej postępywał na tej drodze, to dostanę się w końcu do zakładu dla warjatów. Podówczas rzeczewiście dostało w miasteczku kilku młodych ludzi pomięszanie zmysłów. Tylko ta zachodziła okoliczność, że ci byli już przedtem warjatami, zanim zaczęli pisać wiersze...

Ojciec mój widząc, że popędy poetyczne nie dadzą się we mnie zupełnie stłumić, rzekł do mnie w owym czasie: „Przysięgnij mi, że prędzej jako poeta nie wystąpisz, zanim na innem polu nie zdobędziesz sobie szacunku." Jest to nie znany dotychczas powód, dla którego dopiero tak późno dałem się światu poznać jako poeta...

Poświęciłem się nauce języków. Następnie udałem się na Wschód. Napisałem na podstawie moich badań etnograficzno-historyczne dzieło pt. „Narody zamieszkujące kraje Kaukazkie." Wyszło ono podczas marcowej rewolucji r. 1848. Do tej pory nie wydałem żadnego utworu poetycznego prócz tłumaczeń, pomiędzy któremi przemyciłem i niektóre moje własne poezje. Po wydaniu tych tłumaczeń, nie podobały mi się one wcale, tak, że wykupiłem z handlu księgarskiego wszystkie egzemplarze. Następnie udałem się powtórnie na Wschód i zbierałem tam pieśni ludowe, które wkrótce wyszły w niemieckiem moim przekładzie....

Przybyłem do Wiednia. Tu poznałem Auerbacha, Hebbla, K. Becka i wielu innych pisarzy, z którymi schodziłem się często, i przy kominku opowiadałem im o przygodach moich z podróży na Wschodzie. Przy tej sposobności czytałem im tę lub ową piosnkę. W tem gronie bardzo się te pieśni podobały. Zachęcano mnie, ażebym w tym kierunku pisał dalej i tym sposobem powstała we Wiedniu większa część pieśni Mirzy Schaffy. Niektóre z nich pisane są ręką Auerbacha. Pieśń: *Wo bleibt der Weise* powstała w knajpie pod „świętym dachem." Umiałem dużo tatarskich pieśni ludowych na pamięć. Te były zawsze głównym tonem naszych schadzek. W całym zbiorze poezyj Mirzy Schaffy tylko jedna piosnka jest tłumaczeniem, wszystkie inne moje oryginalne utwory. K. Beck zachęcał mnie do pisania najbardziej, i zaczął pieśni moje umieszczać w czasopiśmie przez niego redagowanem. Pieśni te — nie jest w tem próżność, jeśli to powiem — zrobiły szczęście. Ta okoliczność spowodowała mnie do napisania książki o moich wrażeniach i przygodach doznanych w podróżach po Orjencie pt. „Tysiąc i jeden dzień." Mój nauczyciel tatarskiego języka w Tyflisie niejaki Mirza Schaffy, posłużył mi przytem za model charakterystyczny. Posiadał on bowiem wszystkie przymioty, które nadawały się doskonale, ażeby z niego stworzyć typ wschodniego mędrca..

Bieg mego życia był zawsze tego rodzaju, że zawsze musiałem w innych pracować kierunkach, aniżeli w tym, który był właściwy memu talentowi. Dopiero w dwóch ostatnich latach mogłem się swobodniej oddać większym pracom poetycznym. Przy wyjściu „1001 dni na Wschodzie" nie przywiązywałem wielkiej wagi do pieśni zamieszczonych w tej książce. Tymczasem miały one powodzenie, o jakiem mi się nawet nie śniło. Później, kiedym nabrał odwagi i wydałem moje utwory pod mojem własnem nazwiskiem, zniknęło to szczęście zupełnie. Krytyka pisała

o tych ostatnich wcale niepochlebnie: „Bodenstadt posiada bez zaprzeczenia dużo talentu. Tłumaczenia jego są niezrównane, niestety o pracach oryginalnych trudno to samo powiedzieć, wprawdzie i tu widać, że wyszedł ze szkoły Mirzy Schaffy, jednak genjalności swego nauczyciela nigdy on nie osiągnie.“

Od czasu wydania „Pieśni Mirzy Schaffy“ upłynęło lat dwadzieścia pięć — w przeciągu tego czasu napisałem nie jeden utwor, który pod względem poetycznej wartości godnie stanąć mógł obok wyżej wymienionych pieśni—tymczasem wszystko to nic nie pomogło, późniejsze moje utwory stanowczo nie miały szczęścia, jeśli nie były pisane w owym tonie.... Przed kilkoma laty przybył z Tyflisu znany rossyjski orjentalista Berger do Niemiec. Tu słyszał on wszędzie o tłumaczeniach Mirzy Schaffy. Nauczyciela gimnazjalnego Mirzę Schaffy znał on doskonale, ale o poezjach jego nigdy nic nie słyszał. Wróciwszy na Kaukaz przekonał się, że Mirza Schaffy nigdy w swojem życiu poezyj nie pisywał. Dopiero od czasu, jak to stało się powszechnie wiadomem, uznano mnie za „poetę pełnego nadziei“ i odtąd zaczęło słynąć moje własne nazwisko.“ (Dok. nast.)

## O potrzebie rozwoju przemysłu małego
### czyli drobnego w Galicji

napisał

Jan Nep. z Oleksowa Gniewosz.

*(Ciąg dalszy.)*

Oprócz Krzeszowic i Mirowa mamy jeszcze pokłady glinki ogniotrwałej w Porębie, pod Rawą ruską, Glińsku, Olejowie w Złoczowskiem, Podkamieniu, i kilku innych miejscowościach. A nawet pod samym Lwowem w Snopkowie, odkrył obecny właściciel p. Karłowicz, niewątpliwe ślady pokładów glinki ogniotrwałej. Materjały te służą nietylko do zwykłych wyrobów garncarskich, ale i na piękne fajanse, czego dają dowody wyroby z Glińska, Potylicza, Siedlisk i Lubyczy. Wszystkie te fabryki jednak, nietyle może z powodu braku dostatecznego kapitału ile z niezdolności zarządu i zacofanego empiryzmu, nietylko że nie idą naprzód, ale przedstawiają wierny obszar naszego nieradztwa.

Materjału do zwykłego garncarstwa i w ogóle wyrobów glinianych, posiadamy na całym obszarze nieprzebraną obfitość.

W zbiorach dokonanych krwawą i niezmordowaną pracą całego żywota, naszego nieocenionego badacza i redaktora Encyklopedji krajoznawstwa Galicji. p. Antoniego Szmeidera, znalazłem dowody, których mi z całą gotowością raczył udzielić, że garncarstwo u nas sięga nietylko bardzo dalekiej epoki, ale już za Kazimierza Wielkiego wyroby swe pełnemi galarami spławiało do Gdańska. W tym czasie wyroby garncarskie z Wojnicza miały już pewną sławę.

W szesnastym wieku w Łęgowie, Chmielowie i Tarłowie wyrabiano naczynia garncarskie naśladując zagraniczne. W aktach przemyskich grodzkich z r. 1698 znajduje się proces, o zatopienie sta ku na Sanie pod Krzeszowem wyładowanego naczyniem garncarskiem, za które poszkodowany kupiec z Jarosławia, 28,000 złp. sobie pretendował. To nam daje dowód, na jaką stopę wyroby garncarskie były rozwinięte, bo ta kwota stosunkowo wtenczas więcej znaczyła jak dzisiaj.

Dotykalne dowody zresztą przeszły do naszych czasów z szesnastego, siedmnastego i ośmnastego stulecia, że nietylko garncarstwo, lecz w ogóle ceramika, nie były u nas w kolebce, i dotrzymywały kroku w rozwoju, z najucywilzowańszemi krajami.

Badając ruiny zamków i budowle mieszkalne, noszące na sobie cechę dawniejszej przeszłości po różnych częściach polskiej ziemi, napotykałem ślady nawet wytwornych wyrobów ceramicznych, których utworem kierowała artystyczna ręka polska. — Posiadałem zbiór kilkudziesięciu okazów, który jednak w pożodze 1863 r. wraz z innemi zabytkami cennemi został zniszczony.

W roku 1858 znalazłem w pobliżu ruin zamku Ogrodzieńca w powiecie olkuskim nawet ślady osady, gdzie wypalano kafle o różnobarwnej polewie i z bogatą ornamentyką, do pieców zamkowych; a że się nie myliłem, miałem sposobność porównać czerepy, jakie z rumowiska w zamku wydobyłem. Drugi taki dowód mam również z ziemi olkuskiej z Potoka złotego, dawnej siedziby Pilawitów Potockich — (dzisiaj własność hrabianki Marji Krasińskiej, córki po wieszczu ś. p. Zygmuncie). Otóż, w Potoku złotym spalił się zamek w 1832 r., w którym z pierwszych lat młodości mej pamiętam prześliczne piece kaflowe, a szczególniej wykładane płaskiemi tafelkami z białą porcelanową polewą, pokryte malowidłami niebieskiego lub fioletowego koloru. A na okół zamku resztki słupów murowanych, na których stały znacznych rozmiarów wazony, zakończone piramidalnie owocami i kwiatami z bardzo ładną polewą.

Gdy w r. 1858 przywiozłem zebrane czerepy z zamku w Ogrodzieńcu, zobaczył u mnie starzec takowe, włościanin blisko stuletni, nazwiskiem Białas, który pomimo tak posuniętego wieku zachował zupełną przytomność umysłu i służył za posłańca nawet o kilkanaście mil. Białas odznaczający się wysokim wzrostem, służył w zamku potockim w swej młodości za hajduka. Od niego się dowiedziałem, że kmieć w dobrach tych, który się nazywa Garncarz, w rzeczy samej jest prawnukiem Garncarza — który za pamięci Białasa robił kafle i wazony przezemnie wspomniane do zamku w Potoku, a malował takowe syn kmiecia, którego kazano wyuczyć za granicą. Kilka z tych tafelek posiadałem, i odznaczały się wybornem wypaleniem polewy, jako też poprawnym, śmiałym rysunkiem scen myśliwskich i sielskich.

Takiemi tafelkami wykładano nietylko piece — ale i ściany komnat: Kronika miasta Lwowa przytacza, że król Michał Wiśniowiecki idąc w r. 1673 na Turków pod Buczacz, zmarł we Lwowie w domu, gdzie dziś drukarnia Poremby, w komnacie, której całe ściany były wyłożone różnobarwnemi, wzorzystemi kaflami.

Obecnie, jedynym może zabytkiem tego rodzaju jaki się w całości do naszych czasów przechował, jest komnata w zamku w Oleszycach, dawnej siedzibie Sieniawskich, która się do tychczas nazywa „hetmańską.“

Przodkowie nasi, chociaż mieli wady a może i wielkie, ale przecież kochali tę ziemię serdecznie — całą duszą i inaczej jak obecne pokolenia. — Za granicą, uważał się każdy jako gość — obcy, i nie można łatwo znaleść śladu, aby jedynie dla fantazji — czyli po teraźniejszemu: „dla zadania szyku“ wyrzucono bajońskie sumy, jak to dzisiaj ich skarłowaciali potomkowie czynią, aby w Paryżu i po innych stolicach uchodzić za zaaklimatyzowanych Nabobów.

Ostatni taki smutny dowód nicestwa myśli i ducha, przyniosły nam dzienniki niemieckie z Pesztu, gdzie zmadziaryzowany potomek z dawnej rodziny polskiej, w najętem pomieszkaniu na lat dwanaście wydał na dekorację kilkunastu pokoi po 42,000 złr. za każdy. Pan ten, nazywa się Borys książę Czetwertyński.

Gdyby nie sprzedano zskartowanych kilkuset cetnarów cennych dokumentów, które wysokie c. k. Namiestnictwo oddało do fabryki papieru w Czerlanach, możnaby było z łatwością zestawić obraz, jak u nas kwitnął przemysł. W uratowanych przez p. Antoniego Sznejdera niektórych szczątkach, znajdujemy i ustawę cechu garncarskiego miasta Wadowic z r. 1585, która już sama jedna rozjaśnia, jak wtenczas ważność tej gałęzi pojmowano.

Według wykazów statystycznych izb handlowych i przemysłowych, jakie w r. 1866 zebrał p. Antoni Szneider, istniało wtenczas 820 warstatów garncarskich w Galicji. Z tych, na okręg izby handlowo-przemysłowej lwowskiej, zawierający w sobie obwody: lwowski, żółkiewski, przemyski, sanocki, samborski, stryjski, stanisławowski i kołomyjski, przypadało 387 rzemieślników czyli majstrów wraz z 649 pomocnikami. Na okręg izby handl. i przemysł: Brodzkiej, zawierający obwody: złoczowski, brzeżański, tarnopolski i czortkowski, przypada 219 majstrów z 375 pomocnikami. Zaś na okręg krakowski, z obwodami: krakowskim, wadowickim, sandeckim, tarnowskim i rzeszowskim, przypada 214 majstrów z 406 pomocnikami. Oprócz tego, było jeszcze w całym kraju, 217 osób, trudniących się handlem towarami glinianemi, których wartość na 471,600 złr. rocznie podawaną była; wyłączając z tąd wyroby zagraniczne, dowożone po większej części z Czech, Morawji i Szląska w wartości do 28,947 złr. rocznie. Wszystkie towary te zakupywane bywają w kraju, i tylko mała ilość wartości do 10,000 złr. do Rossji, i za 23,000 złr. na Wołoszczyznę wywożoną była.

W wykazie jeograficzno-statystycznym Galicji i Bukowiny wydanym we Lwowie 1869 r. przez K. Schmedesa pułkownika jeneralnego sztabu, liczba majstrów garncarskich podana już tylko na 516.

Siedziby główne garncarzy, rozrzucone po całym kraju są następujące: Lwów, Gródek, Glińsko, Potylicz, Dziewięcierz, Niemirów, Sokal, Babice, Sądowa Wisznia, Jaworów, Jarosław, Bircza, Brzozów, Drohobycz, Starasól, Komarno, Mikołajów, Żurawno, Wojniłów, Ottynia, Halicz, Monasterzyska, Tyśmienica, Tłumacz, Kołomyja, Kossów, Kutty, Gwoździec, Śniatyn, Horodenka, Czortków, Borszczów, Kopyczyńce, Husiatyn, Mielnica, Grzymałów, Mikulińce, Złoczów, Spikłos, Biały kamień, Brody, Olesko, Załoziec, Krzeszowice, Poręba, Jaworzna, Kraków, Liszki, Niepołomice, Brzesko, Radłowa, Andrychów, Biała, Jordanów, Oświęcim, Kęty, Żywiec, Rabka, Tarnawa, Sucha, Makowa, Wadowice, Łagiewniki, Lachowce, Stary Sącz, Grzybów, Brzostek, Frysztak, Kołaczyce, Żmigród, Tuchowa, Rzeszów, Tarnów, Żabno, Dębniki.

Mając przed oczami tak imponującą nomenklaturę osad garncarskich, możnaby słusznie przypuszczać, że przynajmniej potrzeby krajowe,

są dostatecznie zaopatrzone. Tak jednak nie jest, bo badanie moje z ostatnich dwóch lat przekonuje mnie, że przywóz wyrobów garncarskich z Morawji, Czech, i Szląska do Galicji wynosi rocznie przeszło 70,000 złr. — Z naszych garncarzy — co rok pewien procent opuszcza swój dotychczasowy zawód, a szuka innej pracy.

(C. d, n)

## Piśmiennictwo polskie.

*(Dokończenie).*

Pierwsza część rozpoczyna się dyplomatem sfałszowanym kardynała Idziego z r. 1105, pierwszy dyplomat niepodejrzany jest bulla Honorjusza III z r. 1220, i kończy się z r. 1399, dodano tutaj także zapiski sądowe do Tyńca się odnoszące z Helcla pomników I i II. Część ta jest z sumiennością, jakiej się po autorze tylu wytrawnych dzieł spodziewać było można, opracowaną, a wartość jej podnosi przedmowa, jedyna w swym rodzaju u nas, bo odkrywająca tajniki sposobów fałszowania dyplomatów, z której tu dla braku miejsca nie możemy nic przytoczyć; odsyłamy więc czytelników do niej z tem mocnem przekonaniem, że trud przeczytania jej hojnie się opłaci.

Część druga, większa rozmiarem; lecz mniejsza trudem w nią włożonym, opracowana przez p. Smolkę obejmuje lata 1400 — 1506. W tej części jest tylko pięć dyplomatów podrobionych lub podejrzanych, a to z tego powodu, że do charakterystyki fałszerzów dyplomatów należy i ta okoliczność, iż starają się podrabiać nie bliższe czasem lecz starożytniejsze dyplomaty. Podrabiać bowiem w XVI wieku dyplomat z poprzedniego lub z tegoż samego wieku, było rzeczą niebezpieczną, podczas gdy na fałszerstwie dyplomatu z XII lub XIII wieku mało kto się znał, a przeto i o uznanie go za oryginał było łatwiej. Znajdujemy też w tej części prawie same ku większej wierzytelności podrobione transumpty (Nr. 137, 156) starożytniejszych podrobień. Część ta obejmuje 170 bądź dyplomatów bądź też zapisek sądu krakowskiego. Rozwlekła forma aktów spornych z XV wieku sprawiła, jak wydawca powiada, prawie podwójną obszerność tej części. I w tej części wywiązał się wydawca chlubnie ze swego zadania, myłki pojedyńcze, z których niektóre sam wydawca to w przedmowie to w dodatkach poprawił, nie mogą tu stanowić żadnego zarzutu. Nakoniec pomówimy jeszcze o jednej ciekawej kwestji.

Na stronie 239—40 wydrukował wydawca dyplomat Stanisława opata tynieckiego z 23 Marca 1426, potwierdzający dyplomat poprzednika swego w opactwie, Jana z 26 grudnia 1382. Wprawdzie p. Kętrzyński uznaje ten ostatni akt za podejrzany, lecz dowody nie są tak przekonywujące, żeby i przeciwnego zdania być nie można. Otóż transumpt tego dyplomatu jest tutaj według kopjarjusza tynieckieg odrukowanym, i na końcu tegoż dyplomatu napisał pisarz tajemniczym alfabetem następne litery: *Bkfm ppskck pnks dbtf lpcp sup bprpbbt notbrkus.* Zdaje nam się, iż znaleźliśmy klucz do tego tajemniczego alfabetu a jest nim zasada: Każda samogłoska zastępuje się poprzedzającą lub następującą w alfabecie spółgłoską. Za pomocą tego klucza czytamy: *Diem posici onis date loco suo aprobat notarius* a to w tem mniemaniu, iż w oryginale pierwsza litera nie była *B* lecz *D*, czego się przy niepoprawności kopjarjuszów tynieckich mamy wszelkie prawo spodziewać. Dopisek ten jest o tyle usprawiedliwionym, iż pisarz dyplomatu w zwykłem miejscu zapomniał napisać datę, pisze ją tedy na końcu Die sabbato post f. s. Benedicti conf. a tajemniczym tym dopiskiem uwidocznia tę myłkę. Czy jednak było tak w oryginale, lub czy to jest dodatkiem pisarza, nie da się rozstrzygnąć, za tem, iż tak było w oryginale przemawia to, iż dodatki takie w średnich wiekach tym alfabetem były pisane według Wattenbacha: Schriftwesen im Mittelalter (str. 190 nota 1.)

Indeks ułożony jest przez p. Hirschberga, „na obraz i podobieństwo“ indeksu w aktach grodzkich i ziemskich, a opracowany tak sumiennie, jak poprzednie dwie części.

Zakład nar. im. Ossolińskich może się poszczycić takiem wydawnictwem i takimi urzędnikami.

*M.*

## Listy ze świata.

*(Dokończenie).*

*Paryż — Listopad 1876.*

Widzimy zatem, że Polska i polskość nie odegrały złej roli w bolesnej śpiewaka egzystencji. Owszem, wiemy z pewnych źródeł, że w czasie pobytu swego na wygnaniu spotykając się tam niejednokrotnie z Polakami, cierpiącymi jak on za swobodę myśli, Szewczenko przyjaznego, braterskiego od nich doznał przyjęcia i najlepsze o stosunkach z nimi wyniósł stamtąd wspomnienia. Daremnie więc p. Emil Durand stara się wmówić w swych słuchaczy, jakoby nienawiść przeciwko „Lachom“ stanowiła główne tło jego charakteru i była niby straszliwą „Muzą“ tego ukraińskiego „Pindara.“ Z wyjątkiem „Hajdamaków“ (istotnej plamy na pamięci poety, której on wstydził się potem, a którą rad by był wymazał z liku swych produkcyj, w przystępie bowiem gorączki mniemanego patrjotyzmu sławił w niej mord kobiet starców i dzieci) z wyjątkiem powiadamy „Hajdamaków,“ na ślady wyłącznej nienawiści ku Polakom, nie natrafiamy w żadnym innym jego utworze. Słusznych bowiem imprekacyj przeciwko nadużyciom niektórych panków polskich, nie bierzemy do siebie. Pankowie ci polskości nie reprezentowali wcale, i przemoc ich tak dobrze dawała się we znaki kmiotkom z nad Wisły i Warty, z nad Niemnu i Wilji, jak i tym z nad Dniepru i Rosi.

Ukrainiec całą duszą, marząc o swobodzie swojej ojczyzny, o wejściu jej w skład federacyjnej Sławiańskiej Rzeczypospolitej, Szewczenko ze składu jej nie wykluczał braci Nadwiślańskich, jak to inni czynią. Owszem przyznawał im w nim miejsce, i nie lada jakie, zarobione wyższością cywilizacji i szeregiem wiekowych trudów.

A kiedy już mowa o nienawiści, to w poezjach jego, wbrew temu co powiada p. Durand, nie widzimy zbytecznego cackania się i z Moskalami. Dość przeczytać ustęp z poematu pod tytułem „Katarzyna“ (Kataryna) zaczynający się od słów:

„Ne lubyteś z Moskalami
Bo Moskali czuży liude
Łycho robliat z wami...“

Dość przeczytać ten ustęp, powiadam, by sie przekonać o prawdzie powyższego twierdzenia.

Nie! Nieprawda: Szewczenko, szlachetna dusza umysł wzniosły, nie znał i nie mógł znać bezwzględnej nienawiści barbarzyńskich, nie przebłaganych gniewów. Ukrainiec, chciał swobód rodzinnej swej ziemi, lecz byleby te ostatnie zapewnionemi jej zostały, gotów był krzyżem przebaczenia wczorajszych sporów przekreślić dzieje, i podając braterską dłoń „Lachom“ przypomnieć sobie wspólne praojców na Turka i Tatara wyprawy, zapomnieć o Unji i jej skutkach, o Beresteczku i Humaniu, o wszystkich tych upiorach krwawej przeszłości.

Praca więc p. Durand, z jakiej by nań nie zapatrywać się strony, przedstawia się nam zawsze uczynkiem niepoczciwym. Miast bowiem zabliźniać odwieczne rany, rozjątrza takowe, rozjątrza octem fałszu, na korzyść trzeciego silniejszego wroga. Być może, iż aljans północny leży w interesie Francji. Nie politycy, nie myślimy o zgłębianiu tego zadania. Lecz ludzie prości i szczerzy, nie sądzimy, by hańba podpisywania go na karku ujarzmionej ofiary, absolutną była koniecznością. Można przecie ściskać się z Petersburgiem bez ciskania kamieniem Warszawie. P. Durand na te ostatnie zdobył się bohaterstwo. Są obelgi krzywdzące bardziej lżących, niż zelżonego. Wystąpienie p. Durand do ich należy rodzaju i uniewinnia poniekąd tych, którzy, w czasie ostatnich klęsk Francji, do schlebiającego jej zwycięzcom przyłączyli się chóru.

*J. S. Chamiec.*

## Podróż na około ziemi.

*Sprawozdanie z odczytów prof. dr. S. Syrskiego.*

Przed kilku tygodniami mówiąc o polskiem Towarzystwie przyrodników imienia Kopernika, podaliśmy w piśmie naszem wiadomość o odczytach tegorocznych tego Towarzystwa, i zachęcaliśmy do poparcia i licznego współudziału. Oczekiwania nasze nie zostały zawiedzione. Na wszystkich odczytach dra. Syrskiego „o podróży na około ziemi,“ które się dotąd odbyły, sala ratuszowa była formalnie przepełnioną; nigdy jeszcze odczyty we Lwowie nie cieszyły się taką popularnością. Pragnąc aby i ci z naszych czytelników, którzy nie mogą uczęszczać na te pełne treści wykłady, odnieśli z nich choć w części korzyść, podawać będziemy szczegółowe sprawozdania.

Pierwsze dwa wykłady prawie całe były zajęte ogólnym rzutem oka na całość i cele wyprawy. Ponieważ zaś tę część jużeśmy poprzednio skreślili w kilku słowach, przeto przystąpimy obecnie od razu do części szczegółowej, poczynając od opisania miejsca, zkąd okręty odbiły, i jego otoczenia.

* * *

Okolice Tryestu, nawet na wielką odległość w około, przedstawiają widok dość jednostajny. Roślinności stosunkowo bardzo mało, gdzie niegdzie spotyka się dąb karłowaty; w ogóle otoczenie pod tym względem przedstawia się dość ubogo. Ziemia po większej części koloru niewyraźnego, rdzawego, składa się naprzemian z kamienia wapiennego, zabarwionego na kolor czerwonawy tlenkiem żelaza i zwykłej gliny. Lasów bardzo mało; główną tego przyczyną są w wielkiej ilości hodowane kozy, które wypleniają z gruntu każdy pęd młody, objadają liście i gałązki u młodych drzewek. Mieszkańcy jednak, chcąc odsunąć od siebie winę, przypisują ten brak lasów Wenecjanom, którzy gospodarząc fatalnie, mieli wszystkie lasy wyrąbać.

Jeżeli zajrzymy do wnętrza tej ziemi, tak mało na zewnątrz zajmującej, znajdziemy tam rzeczy nadzwyczaj zajmujące i pouczające. Oto ziemia ta jest gąbką podziurawioną; co chwilę spotkać można groty, przepaście, głębokie jamy, rozpadliny, które powstały wskutek zapadnięcia się grot podziemnych i rozmaite tym podobne ukształtowania powierzchni ziemi, które dla tych okolic są szczególniej charakterystyczne. Często bardzo spotkać można jamy lejkowatego kształtu, których bliższe zbadanie najwyraźniej pokazuje, iż powstały one wskutek usunięcia się sufitu groty podziemnej i runięcia skorupy tę grotę pokrywającej.

Z pomiędzy wszystkich grot okolicznych, najciekawszą i najsławniejszą ze wszystkich jest grota zwana przez miejscową ludność słowiańską grotą Postojny, a znana powszechnie pod nazwą Adelsbergskiej. Oczom zwidzającego przedstawia się po wejściu dziwny i piękny widok. Od sklepienia zwieszają się na dół olbrzymie sople i festony, gdzieniegdzie słupy łączą dno ze sklepieniem, z ziemi jakby wyrastają wysokie stożki, a wszystko to razem przybiera kształty nadzwyczaj fantastyczne. Przewodnik oprowadzający, pokazuje tu „świątynię,“ tam „kaplicę,“ tu znowuż „Madonnę z dziecięciem,“ dalej „św. Stefana“ i tym podobne kształty części składających grotę, którym fantazja ludu nadała te nazwy. Naturalnie, że trzeźwo

patrzącemu człowiekowi z tych illuzyj nic nie pozostaje, lecz przy bliższem przypatrzeniu się, z budowy tych dziwnych postaci dowiaduje się on rzeczy daleko ciekawszych i przytem pouczających, a nie takich, które wzbudzają tylko przesądy w masach niewykształconych, tak łatwo skłonnych do widzenia cudowności we wszystkiem co niezwyczajne. Życzyćby też należało, żeby przy wszystkich miejscach znanych ze swej dziwnej przyrody, a zwidzanych licznie i wskutek tego przynoszących znaczne dochody, przewodnikami byli ludzie wykształceni, którzyby zwidzającym nie przesądy, lecz pouczającą prawdę wpajali.

A w grocie Postojny wiele się nauczyć można. Pierwszem pytaniem, które się nam narzuca jest: w jaki sposób ta jama podziemna powstała? Przyrodnicy dają nam na to jasną i pewną odpowiedź. Oto strumyk tam płynący, przez długie, bardzo długie lata, z twardej skały wymył tę całą przestrzeń podziemną. Powoli w ciągu długich wieków jedna wartewka ściany została zmywaną po drugiej, podmyte bloki obrywały się u ścian i sklepienia, aż nareszcie za naszych czasów wydrążenie doszło do obecnych rozmiarów. Lecz powiedzą czytelnicy: dobrze, tak powstała grota, ależ te zwieszające się przepyszne festony, te sople i słupy olbrzymie, ta najpiękniejsza ozdoba jaskini, ozdoba, która potrafiła wzbudzić w ludzie tyle pięknych fantazyj, zkąd też ona powstała? I na to nauka daje jasną odpowiedź. Przez szczeliny i otworki w sklepieniu i ścianach przesącza się ciągle bez przerwy woda ze źródeł i deszczowa. Woda ta przesiąkając przez pokłady wapienne, rozpuszcza w sobie kamień wapienny, i nasycona nim przesiąka jako kropla na suficie jaskini, i zwiększa się powoli aż póki się nie urwie i nie upadnie na dół. Gdy jeszcze u góry wisi, część jej ulatnia się w powietrze; za mało jest wtedy wody do utrzymania kamienia wapiennego w roztworze, więc osadza się on na sklepieniu, w kształcie obrączki na około wiszącej kropli. Gdy jedna kropla spadnie, przypływa druga i tak dalej bez końca. Z każdej pozostaje obrączka wapienna, które osadzając się jedna na drugiej, powoli tworzą rurkę dosięgającą nareszcie po wielu wiekach olbrzymich rozmiarów. Tymczasem z kroplą upadłą dzieje się rzecz zupełnie podobna, i z ziemi wyrasta powoli stożek dążący na spotkanie wiszącego u góry. Z czasem się łączą i tworzą słup wiążący sklepienie z podłogą. Jeżeli zamiast przez dziurkę, woda przepływa przez szczelinkę, lub też przez dziurki koło siebie leżące, to wtedy powstają owe już wyżej wspomniane festony. Zmienna barwa tych utworów, które jeżeli wiszą u góry zwą się stalaktytami, jeżeli zaś wyrastają z dołu stalagmitami, pochodzi od zabarwienia żelazem. Zwykła barwa jest białą; z przymieszką żelaza powstaje barwa żółta, albo też czerwonawo brunatna. Ta rozmaitość barw przyczynia się wielce do upiększenia i tak już wspaniałego widowiska. Strumyk, który przez długi przeciąg czasu wyżłobił grotę Postojny, pojawia się kilkakrotnie na powierzchni i znowu potem znika w podziemnych przepaściach.

Ze starannego badania groty możemy wyprowadzić jeden, ze wszystkich najciekawszy wniosek, odnoszący się do wieku naszej ziemi. Wiadomo powszechnie, ile to kosztowało pracy i ile odwagi trzeba było, żeby wypowiedzieć wojnę podaniu i wykazać, że powstanie ziemi naszej odsunąć należy w czasy daleko odleglejsze aniżeli dotąd przypuszczano. Dziwna rzecz, że tyle lat na to trzeba było, a przecież już nawet dość powierzchowne przyjrzenie się choćby nawet takiej grocie Adelsbergskiej, odrazu każdego rozsądnego człowieka przekonać powinno. Weźmy np. taki słup stalaktytowy. Opisaliśmy jego powstanie jak z kropelki po kropelce tworzy się powoli. Między innemi znajduje się w tej grocie słup kolosalny o 20 stopach średnicy a 15 wysokości. Bardzo proste obliczenie doprowadzić może do wniosku, wiele czasu trzeba było na wytworzenie tego słupa. Dr. Schmidt obliczył, iż co rok osadza się jeden cal kubiczny kamienia tworzącego stalaktyt, więc dla uformowania całego słupu trzeba było przynajmniej lat ośm miljonów.

Tyle trzeba było czasu do wytworzenia słupa, ale przecież przedtem jeszcze grota musiała być wyżłobioną, a na to bezwątpienia trzeba było jeszcze daleko większych okresów czasu. To świadectwo dawnego istnienia dają nam nieżyjące części jaskini. Jeżeli zaś schylimy się ku ziemi i szukać tam zaczniemy żyjątek, to oczom naszym przedstawi się jeszcze ciekawszy widok. Oto znajdziemy tam stworzonko podobne do jaszczurki, zwane Proteusem, małego raczka i małego chrząszcza, wszystkie bez najszlachetniejszego ze zmysłów żwierzęcych, bez wzroku. Ile to lat trzeba było, żeby żwierzę, które pierwotnie przecież oczy mieć musiało, powoli tak się zastosowało do stosunków otaczających, do tej wiecznej ciemności, że nareszcie ten organ w tych warunkach niepotrzebny, zniknął i już teraz u następnych pokoleń dziedzicznie się pokazuje. (C. d. n.)

---

## POGADANKI.

### XVIII.

Karnawał ma dotychczas zupełnie cechę „prywatną“ — pierwszy bal publiczny odbędzie się bowiem dopiero 20go stycznia, a redut dyrekcja teatru wcale urządzać nie zamyśla. Będą tylko bale maskowe na cele dobroczynne, najpierw zaś, 1go lutego, reduta na dochód straży ochotniczej ogniowej „Sokoła.“ Można to uważać jako wcale dobry znak, iż dyrekcji lepiej opłacają się przedstawienia teatralne od redut; w przeciwnym razie bowiem nie omieszkałaby urządzić na własny rachunek tych zabaw karnawałowych, które są prawie *de rigueur* w oczach każdego Lwowianina. Dodawszy do przeciętnego przychodu z przedstawienia, koszt kładzenia i zdejmowania podłogi w sali widowisk, gaz, służbę itd. a zestawiwszy z tą sumą przychód z reduty, dyrekcja przekonała się, że lepiej służyć muzom, jak Apollon przykazał, niźli forytować saturnalia maskowe, niestetyczne, nudne, a co najgorsza, nieintratne. Tym sposobem, książę Karnawał, o ile go nie przytulą lary i penaty jakiego P. T. właściciela większej posiadłości, skazany jest szukać schronienia — w ogrodzie jezuickim u p. Wojtawickiego, gdzie go policja turbuje swoim rygorem, a gospodarz, złem piwem.

* * *

Teatr zadaje sobie zresztą wiele pracy, ażeby uprzyjemnić pobyt we Lwowie przymusowym i dobrowolnym jego mieszkańcom. W pierwszym rzędzie idą tu przedstawienia „Wielkiego człowieka do małych interesów,“ które rozpoczęły się nakoniec i przez dłuższy czas powinnyby czynić zadość tak naszym potrzebom artystycznym, jak i potrzebom kasy. Potem przyjdzie kolej na *Straszny Dwór* Moniuszki, na którym z góry już tenorzysta p. Zakrzewski próbował sił swoich — w wywoływaniu sztucznej *hausse* gażowej. Pobierając już tyle pensji, ile pobierałby feldmarszałek serbski, gdyby Serbia nie musiała wstrzymywać się od takiego wydatku, (zupełnie zbytecznego, jeżeli zważymy, że jenerał brygady potrafi retyrować z równym pośpiechem, jak feldmarszałek) — zapragnął p. Zakrzewski listy cywilnej wyższej, niźli ją ma książę Czarnej góry. Dyrekcja znalazła atoli, że wymagania pana Z. sięgają ponad wysokie *c* i bojąc się, ażeby jej samej nie przyszło wkrótce śpiewać dyszkantem, zwolniła pana Z. z kontraktu. Wyjdzie nam to na dobre — najpierw bowiem usłyszymy w *Strasznym Dworze* Cieślewskiego, którego z takim żalem oddać musieliśmy Warszawie, a następnie p. Zakrzewski, objeżdżawszy się w świecie, przyjdzie niezawodnie do przekonania, że wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej. Jedną tylko nieśmiałą uwagę pozwolę sobie zrobić przed przedstawieniem *Strasznego Dworu* — oto, czy nie byłoby na czasie, nawiązać na nowo stosunki dyplomatyczne z p. Köhlerem? Zastrzegam się wszakże, że jest to tylko skromna „uwaga z mojej strony, i że za nic w świecie nie chciałbym w tej sprawie odgrywać roli markiza Salisbury — wiem bowiem doskonale, że łatwiej jest pogodzić dwa zwaśnione mocarstwa, niż wlać usposobienie pojednawcze w dusze artystyczne.

Najnowszą, senzacyjną wiadomością ze sfer teatralnych jest zapowiedziane pojawienie się nowej „Pięknej Heleny.“ Jest nią.... ale nie, nie powiem, niechaj też publiczność choć raz w życiu doczeka się przyjemnej siurpryzy, nieprzyjemnych miewa ona bez tego dosyć.

* * *

Stary przyjaciel, i krewny, jeżeli się nie mylę, śp. Wincentego Pola, pan J. P. wydał temi dniami tomik wierszy w narzeczu ruskiem, p. t. *Pisny z dawnych lit.* Na czele przytoczył autor czterowiersz Platona kosteckiego: „Wo imia Otca, i Syna, to nasza mołytwa: Jako Trójca, tak jedyna — Polszcza, Ruś i Łytwa“! Duchem tego czterowiersza przejęte są wszystkie utwory, zawarte w tym zbiorze. Niektóre z nich powstały w czasach, w których autor — emerytowany obecnie wyższy urzędnik sądowy — musiał z pewnością troskliwie ukrywać płody swojej muzy, ażeby nie popaść w niebezpieczny światłocień „*der politischen Verdächtigkeit*“. Dziś zmieniły się stosunki — to też poeta w głosie „*Z Hałyczyny*“ oddaje rodnych braci, Lacha z Rusinem, pod opiekę orła austryjackiego.... *Dziennik Polski* wyraził się z wielkiem powątpiewaniem o skuteczności tej dedykacji, ale mnie nic do tego, bo *Tydzień* nie wdaje się w sprawy polityczne. Stwierdzam tylko, że wiersze pana J. P. są istotnie piękne, i że w niejednym z nich odzywa się w całej pełni żwawa a tęskna nuta kozackopolska. O języku i o pisowni, której używa autor, nie mam prawa sądzić — ponieważ atoli nie ma w tej mierze jeszcze ustalonych prawideł, więc sądzę, że jeżeli z jednej strony p. P. spotka się z zarzutami, to z drugiej znajdzie obrońców. Pisarze wszakże ruscy, używający pisma łacińskiego powinniby się porozumieć przynajmniej co do jednej rzeczy, a mianowicie, co do sposobu graficznego oddania ruskiego brzmienia spółgłoskowego litery *u.* Czy nie byłoby praktycznem, kłaść zamiast *u*, jak pisze p. P. albo zamiast *w*, jak pisze Platon Kostecki, łaciński znak *v?* Tyle sławiony przez rozmaitych narodów alfabet Kirylicki nie pokrywa zresztą tego braku, i to właśnie jest najlepszym dowodem, że alfabet ten zastąpiony być może łacińskim bez szkody dla narzecza ruskiego, a nawet z pożytkiem.

*Jan Lam.*

---

## BIBLIOGRAFJA.

### Polska.

— Geografja początkowa (Podręcznik dla wychowawców) przez Konrada Prószyńskiego. Warszawa — 1877 — skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa.

Pomimo wyrugowania języka polskiego ze szkoły i urzędu w królestwie Polskiem, ruch naukowy wzmaga się tamże w sposób bardzo pocieszający. Na tem miejscu mieliśmy już nieraz sposobność zwrócić uwagę naszych czytelników na ten objaw. Dziś znowu otrzymaliśmy świeżą posyłkę dzieł wyborowych. Gdy i u nas nareszcie zreformowano w znośny przynajmniej sposób elementarne wychowanie, a w skład nauk udzielanych w szkołach pospolitych przyjęto i nauki geograficzne, brak, który co do podręczników czuć się dawał, poczyna się zapełniać. Po pra-

cach Czarkowskiego, Kołodzińskiego, Jeskego i innych, geografja początkowa pana Prószyńskiego zasługuje na szczególne polecenie nauczycielom szkół ludowych i wychowawcom w ogóle.

— Pielęgnowanie chorych czyli krótka nauka jak się obchodzić z chorymi przez D. K. Dobrskiego. Warszawa — 1876.

Wielu ludzi z gotowością a nieraz z zaparciem się pielęgnuje chorych współ bliźnich; takich jednak którzyby pielęgnować umieli, niezmiernie mało, a przecież wiadomą jest rzeczą, że staranne i umiejętne pielęgnowanie chorego równie jest ważnem jak pomoc lekarska, wspiera bowiem pracę lekarską i zgodnie z jego wskazówkami dąży do wytkniętego celu. W powyższem dziełku nauka umiejętnego pielęgnowania chorych wyłożoną jest gruntownie a zarazem popularnie.

— Panteon wiedzy ludzkiej. Oddział drugi. I. Fizyka opracowana przez Stanisława Kramsztyka Mag. nauk fiz. mat. Warszawa — 1877.

W oddziale pierwszym pomieszczono arytmetykę opracowaną przez Dra. M. A. Baranieckiego. Arytmetyka wyszła w r. 1875.

— Ostatni Sejmikowicze przez p. Jaksę Bykowskiego. Warszawa — 1876.

— Za króla Olbrachta. Powieść historyczna przez Teodora Tomasza Jeża. Warszawa — 1876.

— Najważniejsze odkrycia i wynalazki w dziedzinie nauk, sztuk i przemysłu według Ludwika Figuier. Warszawa — 1876.

— Biblioteka rzemieślnika polskiego. Przewodnik dla murarzy. Wydanie drugie. Warszawa — 1877 r.

— Żelazne pęta. Powieść przez Francesco Dall' Ongaro. Przekład z włoskiego. Warszawa — 1876 r.

— Elementarz, na którym nauczysz czytać w 5 albo 8 tygodniach. Ułożył Kazimierz Promyk. Warszawa — 1876.

— Podbój państwa atmosfery. Czterdzieści dni żeglugi balonem przez A. Browna. Przekład z francuskiego. Warszawa — 1877.

— Krótki wykład nauki kroju bielizny i sukien dla kobiet. Według metody francuskiej z 48 drzeworytami. Warszawa — 1876.

### Niemiecka.

— Sturmflut. Roman in sechs Büchern von Friedrich Spielhagen. Drei Bände. Leipzig 1877 Staackenau.

Pod sam koniec r. 1877 okazały się w handlu księgarskim najznakomitszych powieściopisarzy niemieckich następujące dzieła: Feliksa Dahna „Ein Kampf um Rom.“ „Markus König“ Gustawa Freitaga; „Uarda“ Jerzego Ebersa i nareszcie „Sturmflut“ Frydryka Spielhagena. Powieści Dahna, Freitaga i Ebersa są powieściami historycznemi na tle cywilizacyjnem i starożytnem; moglibyśmy je nazwać ilustracjami poetycznemi studjów naukowych. Dahn opisuje jedną z najciekawszych epok z historji Gotów; słynny egiptolog Ebers czasy Ramzesa, a Freitag usiłuje, choć nie zawsze szczęśliwie, dać czytelnikowi obraz sąsiednich Niemcom krajów wschodnich. Powieść znowu Spielhagena jest obrazem cywilizacyjnym czasów dzisiejszych. Burzy w przyrodzie na Bałtyku, przeciwstawił autor na sposób szekspirowski burzę za czasów gründerstw, a obydwie wywołały katastrofy tragedji.

---

## Wiadomości z kraju i ze świata.

### Literatura sztuka i nauka.

— W teatrze lwowskim przedstawiono d. 11 bm. po raz pierwszy komedję Aleksandra hr. Fredry (ojca) pt: „Wielki człowiek do małych interesów“ rozpoczynającą poczet utworów, które zostały w rękopisie po naszym wielkim komedjopisarzu. W przyszłym numerze zdamy sprawę szczegółowo z przedstawienia; dziś notujemy, że utwor o którym mowa, nie jest komedją w ścisłym tego słowa znaczeniu, brak mu bowiem intrygi, podsycającej ciekawość widza. Za to charaktery są dobrze wycieniowane i żywcem zdjęte z natury; a gdyby w akcie 5tym rzecz nie spadała do poziomu farsy, całość nie mało by na tem zyskała. Z tem wszystkiem publiczność ubawiła się serdecznie, dzięki licznym dowcipom, rozsianym po wszystkich scenach! i przeważnie dobrej grze artystów.

— P. Klemens Łukaszewicz, otworzył we Lwowie przy ulicy Halickiej pod l. 50 pierwszą „Antykwarnię polską,“ w której prócz dzieł rzadkich, znajdują się także najrozmaitsze starożytności. Polecamy gorąco ten pożyteczny zakład polskiej publiczności.

— Siemiradzki, jak nam donoszą, poświęca czas swój obecnie nowemu arcydziełu, stanowiącemu pendant do „Pochodni Nerona.“ Jest to obraz przedstawiający tenże sam przedmiot, ale po dokonanem męczeństwie. Wśród nocy jasnej rysują się ponuro ziejące rozpustą krużganki pałacu Nerona. Tu i owdzie przesuwa się cień dążącego na umówioną schadzkę Lowelasa rzymskiego, lub strażnika stojącego na szyldwachu. Z boku sterczą nieme świadki tryumfu przemocy nad prawdą, na wpół zwęglone pale, a na nich szczątki tych, co za prawdę giną umieli. Wśród tych palów wije się tajemniczo gromada ludzi: to chrześcijanie zbierają kości i popioły, przyszłe relikwie i pamiątki wielkiej wiary, wielkiego poświęcenia. Pomysł wzniosły, zaiste godny mistrza.

— Gustaw Freitag, znany powieściopisarz niemiecki, autor romansu „Soil und Haben“, pracuje jak wiadomo, nad całym cyklem historycznych powieści, które objąć mają obraz żywota i kultury niemieckiego narodu. Cykl ten romansów ma ogólny tytuł „Die Ahnen“, a obecnie opuściła prasę piąta już z rzędu powieść pod tytułem „Marcus Koenig“. Wspominamy o tym najnowszym utworze Freitaga, bo akcja jego odbywa się w Toruniu na początku XV wieku, kiedy miasto to należało pod berło rzeczypospolitej Polskiej. Bohater powieści Marek Koenig, patrycjusz toruński, bierze sobie za cel życia oderwanie Torunia od Polski i przyłączenie go do Brandenburgji. W tym celu konspiruje z księciem Albrechtem i przebywa najrozmaitsze przygody i niebezpieczeństwa dla swej idei, która mimo całej aureoli, jaką ją otoczyć usiłuje Freitag, niczem innem nie jest jak zdradą i buntem przeciw prawowitemu monarsze. Pod względem artystycznym utwór to bez wielkiej wagi, który niczem nie dorównywa dawniejszym pracom tego autora; pod względem historycznym jest to stek przekręceń i fałszów, które nie uszły nawet niemieckiej stronniczej krytyce. Freitag milczy o ówczesnym stosunku książąt brandenburgskich do Polski, nie istnieje dla niego wcale fakt, że książęta ci zrzekli się kilkakrotnie uroczyście pretensji do Torunia na rzecz Polski, której byli hołdownikami. Uporne a rozmyślne zatajenie tego stosunku lennego wydało się śmiesznem nawet w samych Prusiech, a krytycy niemieccy nie szczędzili Freitagowi z tego powodu docinków i aluzyj, których powtarzać nie chcemy.

— W Paryżu wywołała ogromną senzację wiadomość podana przez dzienniki tamtejsze o nowym utworze scenicznym p. Sardou, który ma być wystawionym w teatrze Vaudeville. Tytuł jego tymczasowy: „Dora“, lecz właściwy, jeźli pozwoli nań cenzura, brzmieć ma: „Szpieg żeński“. Autor chłosta w nim dotkliwie cały zastęp dam zagranicznych, od znakomitej księżnej aż do zwykłej kurtyzanki, które, jak wieść głosi, pod maską awanturniczego życia służą właściwie celom dyplomacji zagranicznej. Francja przedstawioną być ma jako ofiara swej gościnności i lekkomyślności, i nie brak podobno aluzyj do pewnych mocarstw, które nie wzbraniają się używać „półświatka“ paryskiego dla wyśledzenia francuskich tajemnic stanu. Ponieważ fama miastowa wymienia w pierwszym rzędzie Rossję, do której autor pije, podczas gdy on prawdopodobnie bliższego sąsiada z nad Sprei miał na myśli, przeto cenzura nie zdecydowana dotąd, co postanowić w tej mierze.

### Odkrycia.

— Henryk Schliemann, samouk, łączący z uzdolnieniami romantycznemi talent przemysłowy, a w najnowszym czasie i tytuł doktora, wydał przed dwoma laty w Lipsku u Brokhausa Atlas swych starożytności trojańskich. Wierzy on, że rzeczywiście odkrył Troję homerowską. Zdanie uczonych o tych odkryciach jest, że żaden kawałek Schliemanna nie odpowiada Troji Homera. Formy jego starożytności są najpierwotniejsze, obok częściowo wielkiej wartości materjalnej. Uczeni francuscy i angielscy (Lenormant, Newton) widzą w nich podobieństwo do odkryć z tak zwanej epoki bronzu w zachodniej i środkowej Europie, tylko że odkrycia S. okazują jeszcze surowsze formy. Napisów jest w najlepszym wypadku bardzo mało i są nader problematyczne. Jedni sądzą, że to pismo fenickie, inni że przedfenickie, cypryjskie, od pisma klinowego pochodzące.

### Wynalazki.

— W fabryce szkła Jana-Jerzego Zahna w Złabnie, w hrabstwie Nowohradzkiem na Węgrzech, zajmuje się wyrabianiem ze szkła kopij monet, medalów, kameów, gem i innych starożytności, oraz przedmiotów sztuki, Leon-Walenty Pantoczek urodzony roku 1813 w Koprzywnicy, który odbywszy nauki w Uniwersytecie Jagiellońskim, otrzymał w Peszcie stopień doktora medycyny. Wynalazek jego własny wykonywania tych naśladowań w sposób tak łudzący, że kopje od oryginałów nie łatwo mogą być rozróżniane, zwrócił na siebie uwagę za granicą, dla ważności tej inwencji w kierunkach naukowych. Dr. Pantoczek przysłał do gabinetu archeologicznego Uniwersytetu Jagiellońskiego, na okaz 34 monet i 14 kameów tym sposobem wykonanych ze szkła.

### Konkursy.

— W miesiącu czerwcu roku 1875 ogłoszony był przez warszawskie Towarzystwo lekarskie konkurs do nagrody z funduszu dra Tytusa Chałubińskiego. Nagroda rsr. 240 miała być przyznaną za najlepsze dzieło polskie w przedmiotach odnoszących się do nauk lekarskich lub pomocniczych drukiem ogłoszone w przeciągu lat czterech. Ponieważ termin rzeczonego konkursu już upłynął i do dnia 1 kwietnia r. b. przez Towarzystwo lekarskie przedłużony został, wzywa się przeto pp. autorów, którzyby życzyli ubiegać się o powyższą nagrodę, aby najpóźniej do dnia 1 kwietnia rb. dzieła swe Towarzystwu lekarskiemu nadesłać raczyli. Zarazem uprasza się wszystkie redakcje pism perjodycznych o powtórzenie niniejszego wezwania. Adres Towarzystwa: w Warszawie ulica Niecała numer 7.

— Zarząd Akademji umiejętności zawiadamia osoby interesowane, iż z dniem niniejszego ogłoszenia otwiera się „Konkurs imienia Lindego“. Przedmiotem tego konkursu będą prace z zakresu języka polskiego, mające w jaki bądź sposób służyć za dopełnienie słownika Lindego. Praca tej treści za najlepszą przez Akademję uznana, otrzyma nagrodę w ilości 675 rubli sr. t. j. w kwocie równej wartości kuponów płatnych w ciągu lat trzech od złożonych w tym celu listów zastawnych miasta Warszawy. Prace treści nadmienionej, o ile byłyby przedmiotem konkursu, czy to w ciągu odpowiedniego trzechlecia już drukiem ogłoszone, czy też w rękopiśmie, winne być nadesłane Akademji najdalej do końca czerwca 1879 r. Przyznanie nagrody nastąpi w końcu października tegoż roku, jej zaś wypłata w roku następnym dnia 24 kwietnia jako rocznicę urodzin Sam. Bogumiła Lindego. Praca uwieńczona zostaje własnością autora, który wszelako, gdyby takowa była już drukowaną, winien przed powzięciem nagrody złożyć w Akademji 50 egzemplarzy; w razie przyznania nagrody za pracę nadesłaną w rękopiśmie, autor winien ją bądź sam ogłosić drukiem najdalej w ciągu jednego roku, bądź zdać to na Akademję. W pierwszym razie autor Akademji, w drugim Akademja złoży 50 egzemplarzy autorowi.

— Z funduszu ks. Czartoryskich, przeznaczonego dla uczniów Wydziału filozoficznego za najlepsze prace z zakresu historji kościoła w Polsce i historji polskiej, otrzymali w r. 1876: p. Mieczysław Warmski nagrodę 200 zł. za pracę „Przebieg sprawy egzekucji dóbr koronnych za Zygmunta Augusta z uprzednim wstępem o inskrypcjach tych dóbr w XV i XVI wieku“; pan Ludwik Droba nagrodę 100 zł. za pracę: „Przyczynki do dziejów kościoła, religji i obyczajów w Polsce XIII i XIV wieku, na podstawie ustaw synodalnych tychże wieków“.

### Zjawisko natury.

— Niezwyczajne o tej porze zjawisko meteorologiczne obserwowano dnia 7 b. m. na górze Semering. Po godzinie 7 wieczorem pojawiły się w stronie południowej bardzo silne suche błyskawice przy stanie termometru 1°. W miejscowości Karpfonberg zaś dnia 30 grudnia około godziny 3 po południu widziano wspaniałą tęczę, która trwała blisko 20 minut.

---

# ROZMAITOŚCI.

— W połowie grudnia z. r. zakończył się w południowej Rossji znowu jeden z owych, zajmujących w wysokim stopniu uwagę ogólną, procesów przeciw znanej tam powszechnie sekcie Skopców, i tym jednak razem, jak dawniej nie osiągnięto żadnych pozytywnych skutków. Widownią kilkomiesięcznej na ten cel rozprawy sądowej był Melitopol, miasto położone w gubernatorskim okręgu odeskim; rezultatem jej jedynym skazanie wielu starszych sekciarzy na wygnanie na Sybir, dzieci zaś ich oddano na wychowanie wybranym osobom. Mimo to sekta skopców istnieje jak przedtem, coraz to szerzej i potężniej rozszerzając się w państwie białego cara. Rzadki to przecie, niemal wyjątkowy objaw religijno fanatycznego zaślepienia niepokonalanego mimo kar i gróźb używanych przeciw „wiernym,“ owszem, śmiało urągającego prześladowani,u z godnym — zaprawdę — lepszej sprawy stoicyzmem. To też i ostatnia rozprawa melitopolska dostarczyła tylko świeżych a jaskrawych szczegółów z zewnętrznego obrządku sekty; istota jej, zwyczaje, zgromadzenia i miejsca, gdzie się te odbywają, zostały dalej ciemną tajemnicą sekciarzy. Jakiekolwiek były środki sędziów śiedczych — a wiemy przecie wszyscy, że moskiewscy nie przebierają w takich razach, nie zdołały one przełamać milczenia oskarżonych; wszystko w ostatku okazało sie daremnem, i rząd moskiewski tyle tylko dziś wié w tej mierze, co przedtem, mianowicie, że w skopcach ma nader niebezpieczną sektę, coraz to głębiej wkorzeniającą się w społeczeństwo. Nieuchwytność jej i działalność tajemnicza, już z tego tytułu przeraża sfery rządzące, że przypomina im tak żywo nurtowania strasznego dla nich nihilizmu. Nader zajmującem w wspomnianym wyżej procesie skopców było sprawozdanie niejakiego Maczulskiego, który z polecenia melitopolskiego sądu badał powstanie i rozwój tej sekty, a potem trybunałowi przedłożył treściwy elaborat swoich studjów. Na początku mówi on, że wprawdzie skopcy są czysto moskiewskim fenomenem, atoli podobne im sekty pojawiały się jeszcze w średnich wiekach w zachodniej Europie. W Rossji sięgają pierwsze zaczątki skopców do 17go wieku, wówczas kiedy chłop Daniel Filipow wystąpił jako założyciel nowej religji. Tenże mienił się „bogiem Zebaot,“ prawił kazania w licznych miejscowościach, zakładał gminy z rozmaitemi obrzędami z pomiędzy których jedna zwała się gminą „biczowników“ (chlistawcziki), a z tej znowu powstali skopcy jako osobna sekta. Podczas gdy rząd już w r. 1735 zniósł jednę gminę „biczowników,“ a sekciarzy knutował, wieszał lub w Sybir gonił, o pierwszym procesie przeciw skopcom słychać dopiero w r. 1775 w Orłowskiem, przyczem wyszło na jaw, że niejaki Kondratij Seliwanow był właściwym twórcą tej wstrętnej sekty. Ten Seliwanow wystąpił wspólnie z uczniami swoimi, Szyłem i Iwanowem, w połowie minionego stulecia, w czasach gdy położenie moskiewskiego ludu było, dzięki bezmiernej tyranji Birońskich rządów, nadzwyczaj bolesnem i pożałowania godnem. Wędrując z miejsca na miejsce nowy apostoł głosił wszędzie naukę, której pierwszym warunkiem było: bezwarunkowe zniszczenie cielesności, do czego jedynym środkiem miało być okaleczenie się haniebne. Moskiewskie duchowieństwo, skutkiem postępowania swojego, straciło było wszelkie poważanie u ludu, a ponieważ Seliwanow obiecywał ciemnym tłumom wybawienie od nędzy i niedostatków, więc też liczba jego adeptów rosła z dniem każdym imponująco. Atoli w r. 1776, na naleganie popów został uwięziony, zknutowany i do Irkucka wygnany. Moskiewskie akta sądowe zawierają wzmiankę, że pomiędzy skopcami krążyły apokryficzne opisy przedstawiające czas męczarni Seliwanowa, które podług orzeczenia sekciarzy, pochodzić miały z pozostałych jego papierów. Opisy te opowiadają między innemi, że Seliwanowa knutowanego otaczały w koło płaczące „dzieci“ i wspierały go, by nie upadł. Po spełnieniu chłosty, „dzieci“ zciągnęły z niego krwią przesiąkłą koszulę, i podzieliły ją pomiędzy siebie, jako cenną relikwię. Nawet na wygnaniu w Irkucku, potrafił Seliwanow założyć pierwszą w Syberji gminę skopców, i stamtąd wpływał na zwolenników swoich w Europie. Ci też odbywali doń formalną pielgrzymkę, otrzymywali od „męczonego“ naczelnika nowe instrukcje, a przedewszystkiem otrzymywali zlecenie, by jak najwięcej pomnażać usiłowali liczbę wiernych. Ponieważ w obec tego rząd moskiewski nie wiedział, jak zaradzić skutecznie przeciw temu nowemu „zbawicielowi i synowi bożemu,“ jak się sam Seliwanow mienić pozwalał, więc zabrano go z Irkucka i umieszczono w petersburgskim domu obłąkanych, skąd dopiero uwolniły go osobiste odwidziny cara Aleksandra Igo. Najbliższem następstwem tego było, że sekta pod osobistem kierownictwem Seliwanowa rozgałęziła się szeroko, szczególnie w pobliżu Moskwy i Petersburga, a w r. 1815 uczennica jego pułkownikowa Tatarynow, założyła pierwszą kobiecą gminę skopców, w której również dziewczęta i kobiety były okaleczane. W r. 1832 umarł Seliwanow w pewnym klasztorze koło Moskwy, atoli nikt nie wie, gdzie leży pochowany. Skopcy nie wierzą w jego śmierć, i są przekonani, że prorok ich, nieśmiertelny jak Bóg, objeżdża Rossję coraz to pod innem nazwiskiem, pomnażając ustawicznie liczbę swoich wyznawców. Dwaj w ostatnim procesie melitopolskim skazani skopcy, mieszczanin Konstantynów i kupiec Birkin, twierdzili nawet uparcie, że gdyby tylko chcieli, mogliby bezpośrednio obcować z Seliwanowem, wręczać mu dary i w zamian dostawać od niego. Wspomniani ci oszuści, gdyż niczem innem nie byli, prowadzili w ten sposób wcale intratny interes, wierni bowiem obsypywali obudwu „apostołów“ kosztownemi ofiarami, za co otrzymywali włosy i szmatki rozmaite, jako wrzekomo od Seliwanowa pochodzące relikwje. Ponieważ jednak pojawienie się drugiego „zbawiciela,“ za jakiego uważają swojego naczelnika, pociągnąć musiało koniecznie wystąpienie antychrysta, więc skopcy są tego mniemania, że ów antychryst zjawił się już rzeczywiście w osobie Nepoleona Igo, bastarda carowej Katarzyny IIgiej i „djabła,“ i że do dziś dnia przebywa on w Turcji, a dopiero, gdy się okaleczy, będzie mógł wrócić do Rossji. Najbardziej zajmującemi w procesie melitopolskim były zeznania kilku oskarżonych, którzy odznaczali się od reszty przebiegłą obłudą jak zarówno fanatyzmem zaciekłym. Z pomiędzy nich największe podziwienie wywołał niejaki Pawłów, 55cioletni skopiec bez zarostu na twarzy, z cieńkim głosem, niedołężnemi muszkułami, o energicznych rysach twarzy i dziko błyszczących oczach. W śledztwie zeznał on, że urodził się w Tulczy, i że zrazu należał do rumuńskich skopców, którzy główne swoje gminy mają w Bukareszcie i Jassach. Rodzice wpoili w niego pierwsi zasady sekty i okaloczyli go sami, gdy doszedł do 25 roku życia. Przed trybunałem głosił z pewną dumą, że jest prawdziwym skopcem z „wielką pieczęcią“ podług słów Ewangelji, gdyż w nim mówi głos: „Porzuć twojego ojca i twoją matkę, weź krzyż na ramiona a będziesz ocalony.“ Zresztą Pawłów nie uczęszczał do żadnej szkoły, i dumny jest z tego, że rodzice udzielili mu tylko nauki w „wierze.“ Oskarżony wierzy silnie w Seliwanowa, i twierdzi że ten, jako głowa kościoła, podobnie Chrystusowi cierpiał, a przyszedł na to na świat, by wzmocnić „wiarę.“ Również i skopcy, jako „ludzie jedynie Bogu mili,“ będą musieli wycierpieć wiele, ale w końcu zdobędą sobie uznanie u świata i wolność rozległą. Na koniec, sam zeznał, iż z głębi duszy i przekonania głosił wszędzie i przemawiał gorąco za ohydnem okaleczaniem obudwu rodzajów. Drugi oskarżony, niejaki Łatyszew, opowiedział w sposób wyczerpujący, jakim sposobem stał się skopcem. Razu pewnego przyszli doń obydwaj „wierni“ Martynow i Lissin, i zapuścili się z nim w rozmowę o duszy, przyczem zapytywali go, czem właściwie jest dusza. Na odpowiedź jego, że dusza pochodzi od Boga, rzekł Martynow: „Dobrze mówisz, pochodzi ona od Boga i wróci do Niego.“ Gdy Martynow i Lissin odeszli, przyszedł doń niejaki Petrow z dwoma towarzyszami, i ci pytali go czy wie, kto u niego był przed chwilą. Gdy odpowiedział, że nie wie, rzekł Petrow: „Otóż to właśnie bieda, żeś się nie domyślał! Wszak to był sam car, który objawił się na Zionie.“ Wówczas, powiada oskarżony, nie wiedział sam, czy ma wierzyć lub nie, słowom Petrowa. Gdy atoli po dwu tygodniach przyszli doń znowu trzej skopcy, i powiedzieli mu z wyrzutem: „Cóżeś zrobił, puściłeś od siebie gościa, który był samym zbawicielem“ wówczas uwierzył już ich słowom. Później przybył do niego „zbawiciel“ z Martynowem i dwoma prorokami, i wezwał go by udał się za nim do „nowej Jerozolimy.“ Usłuchał ich, i odtąd w towarzystwie tych ludzi zwidził rozmaite miasta w kraju i za granicą. W Gałacu nakazał mu jakiś prorok, ażeby się dał okaleczyć podług „małej pieczęci.“ Gdy się to stało i w dalszym ciągu zachorował niebezpiecznie „zbawiciel“ rozkazał mu powrócić do Rossji. Przy pożegnaniu powiedział mu tenże: „Słuchaj Łatyszew nie potrzebujesz nikogo się obawiać, bo choćby cię uwięziono, ja sam pojadę do cara, i nawrócę go do naszej rzetelnej wiary.“ Na zapytanie prezydenta trybunału, czy wierzy dotąd w „zbawiciela“ gałackiego, odpowiedział Łatyszew: „Dlaczegóż nie miałem pierwej wierzyć, skoro prorocy przepowiadali o nim i śpiewali psalmy na jego cześć, a nawet Bazyli Wielki mówił o nim. Czy dziś jeszcze wierzę, nie umiem powiedzieć, nie wiem.“ Dalszy oskarżony Iwanow powiedział, że początkowo zyskano go dla tej wiary i okaleczono wbrew jego woli; dopiero od czasu gdy był obecny duchownym ćwiczeniom skopców tz. radenje, powziął dokładne wyobrażenia o zbawczej sile tej wiary. Iwanow opisywał dalej, jak takie ćwiczenia rozpocznają się duchownemi naukami, następują potem śpiewy, tańce, a kończą się tajemniczemi wróżbami. Nabożeństwa te rozpoczynały się zwykle późnym wieczorem, trwały głęboko w noc, odbywały się zaś w odległych domach wśród lasów i manowców. Zapytany, dlaczego tańce wchodzą w rytuał ceremonij, odpowiedział, że już król Dawid tańczył koło arki przymierza w obliczu Pana. Co do rodzaju tych tańców, to skopcy twierdzą, że wykonują te same, które Dawid ongi wykonywał; tymczasem policja moskiewska zdała sprawę, że ta część ich nabożeństwa należy do najwstrętniejszych niechybnie na całym świecie widowisk. Mężczyźni i kobiety obracają się w kółku wśród szalonych krzyków, a coraz to szybciej i gwałtowniej, aż w końcu zmęczeni do upadłego, padają na ziemię. Inny podsądny podał niektóre szczegóły komunji skopców. Podczas niej rozdzielają pomiędzy siebie, małe czworokątne kostki czarnego chleba lub bułki, z wyrytym na każdej krzyżykiem. Wszyscy jednak, przesłuchiwani w Melitopolu, zaprzeczali stanowczo, by kiedykolwiek używali na komunję krwi i mięsa, jak to niby skonstatowano podczas poprzednich procesów. Jednogłośnie utrzymywali, że nie są ludożercami ani mordują dzieci, jak to często zarzucają im przeciwnicy. Jak wyżej wspomnieliśmy, proces melitopolski spończył się bez żadnych rezultatów praktycznych, a rząd moskiewski stoi znowu bezsilnym wobec wzrostu tej dziwnej bigoterji i ascetycznego jakiegoś szaleństwa. Sekta skopców rozwija się przerażająco pod względem liczebnym, a najwięcej właśnie w okolicy większych miast, jak Petersburg, Moskwa, Odessa, Morszańsk. Wolne od tej plagi są wyłącznie północne okręgi Rossji europjskiej i wschodnia część Syberji. Wprawdzie rząd nie skąpił kar ni środków najbardziej nawet radykalnych dla wytępienia tego wstrętnego i jedynego w swoim rodzaju sekciarstwa, a nawet nie dawno temu, po kilku procesach, usiłowano ich ośmieszyć wobec ludu, wodząc po wsiach w błazeńskim stroju, — wszystko to jednak chybiło celu. Skopcy ogłosili skazanych za męczenników sprawy świętej, i sekta zyskała więcej jeszcze adeptów Co najbardziej jest pożałowania godnem w tej sprawie, to zatrważająca okoliczność, że te szalone zasady sekty nie tylko znajdują przystęp u ciemnych mas ludu, ale nawet wśród wyższych stanów liczą już wielu wyznawców swoich.

## Od Redakcji.

**E. P. w Myślenicach.** Rozprawy tej treści będą nam pożądane. Oczekujemy przysyłki.

**S. Gro. we Lwowie.** Przysłany wiersz, mimo formy wyrobionej, drukowanym nie będzie. Prostota i jasność myśli, oto czego w poezji głównie szukamy.

**T. Ł. w...** Ballada „Straszna kochanka“ nie będzie drukowaną.



Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).